Nr. 128. Lwów — Wtorek dnia 7 Czerwca. Rok 1898.

Wychodzi w dni powszednie o godzinie 3 po południu z datą dnia następnego.

NUMER KOSZTUJE
we Lwowie . . . . . . 4 ct.
na prowincyi . . . . . 6 „

Numera z poprzednich dni po 10 ct.

Wszelkie „Doniesienia prywatne“ jakoto o zaręczynach, ślubach, weselach, nabożeństwach żałobnych, pogrzebach, wszelkie nekrologi, opisy uczt i zabaw prywatnych, wszelkie reklamy dla balów, odczytów i koncertów, wszelkie spisy składek, doniesienia o zgubach lub o znalezionych przedmiotach i t. d. i t. d. po 50 centów od wiersza.

PRZEGLĄD

POLITYCZNY, SPOLECZNY I LITERACKI.

Za zmianę adresu dopłaca się 26 ct. Opłatę należy uiścić równocześnie z żądaniem zmiany adresu.

Ceny ogłoszeń: Zwyczajne ogłoszenia na czwartej stronicy
Wiersz petitowy albo jego miejsce . . . 20 ct.
W „Drobnych ogłoszeniach“ za każde słowo tłustym petitem po . . . . . .
Tłustym garmondem po . . . . . .
Korespondencye prywatne za każde słowo tłustym petitem po . . . . . .

Nadesłane na trzeciej stronicy:
Ogłoszenia, wiersz petitowy albo jego miejsce 30 ct.
Reklamy . . . 20 ct. | Nekrologia . . 30 ct.
Ogłoszenia do Przeglądu przyjmuje „BIURO DZIENNIKÓW“ ul. Karola Ludwika l. 9.

Dziś:	św. Roberta B.	Karpa Ap.
Jutro:	św. Medarda B.	Fterapont

Adres Redakcyi i Administracyi Ulica Sykstuska l. 45.

Naczelny Redaktor i Wydawca: *LUDWIK MASŁOWSKI.*

Wschód słońca o g 4 m. 7. Zachód „ 7 „ 50.

Długość dnia g 15 m. 43. Przybyło dnia od wczoraj 2 m.

Przegląd polityczny.

Lwów 6 czerwca.

Ks. Imeretyński nie cieszy się życzliwością rosyjskich szowinistów, zwolenników systemu Hurki i Apuchtina. Podejrzywają jego zamiary i w zarządzeniach jego widzą jakieś „reformy“, zupełnie zbyteczne dla wybornej maszyny administracyjnej, szkodliwe zaś przezto, że w Polakach budzą wrzekomo jakieś nadzieje, zachcianki, marzenia. Nie mają oni wprawdzie dowodów na to, że podobne uczucia i myśli istnieją, ale od czegoż posiadają dar zmyślania! Tak naprzykład, donoszą w swych pismach, że ogłoszony niedawno statut „rady administracyjnej“ sprawił Polakom ciężki zawód, z którego powstało rozgoryczenie, a wiadomo, że ono nigdy nie czyni nic dobrego. Z tego wynika, że pomysł utworzenia owej rady nie był szczęśliwy. Polacy spodziewali się, że rada będzie zarodkiem polskiego senatu, z którego z czasem powstanie coś w rodzaju parlamentu, a dalej już sam przez się przyjdzie samorząd polityczny, aż wreszcie Królestwo otrzyma niepodległość, choć taką na początek, jaką ma Finlandya. Nie wiemy, skąd o tem wszystkiem dowiedziały się takie dzienniki, jak *Mosk. Wiedomości*, *Świet*, *Naród* itd., ale one przysięgają swej publiczności, że właśnie o tem marzyli Polacy, o czem łatwo się dowiedzieć z galicyjskiej i poznańskiej prasy. Otóż w tej prasie nic podobnego nie było. Przyjęła ona do wiadomości oświadczenie *Dniewnika Warszawskiego*, że „rada administracyjna będzie uzupełnieniem kancelaryi jeneralnego gubernatora, która nie jest w stanie dostatecznie zgłębiać i opracowywać wszechstronnie różnych spraw administracyjnych, a nadto ta rada przyniesie niewątpliwy pożytek jeszcze dlatego, że w niej będą wysłuchiwane opinie rzeczoznawców, co w państwie rosyjskiem już stale się robi, ilekroć chodzi o wprowadzenie jakiejś zmiany.“ Wprawdzie dzienniki galicyjskie i poznańskie słusznie zauważyły, że ta rada przyniosłaby większy pożytek, gdyby nie była nawskróś biurokratyczną, ale nie mówiła o doznanym zawodzie i rozwianych marzeniach, bo im się nikt nie oddawał.

Tak samo i z tych samych powodów potępiają szowiniści rosyjscy zwołanie trzech ankiet, z których jedna opracuje projekt nauki języka, literatury i historyi piśmiennictwa polskiego w szkołach średnich, druga zajmie się rewizyą ustaw o straży ziemskiej i w ogóle o policyi, a trzecia ma przejrzeć wszystkie przepisy o nadzorze policyjnym, wydawane od roku 1867-go. Te ankiety, złożone wyłącznie z osób urzędowych — pierwsza z nauczycieli gimnazyalnych, a dwie drugie z prokuratora izby sądowej warszawskiej i kilku gubernatorów — zaczną swą pracę w tym miesiącu i jeszcze zgoła nie wiadomo, co postanowią, jak do rzeczy się wezmą, a już szowiniści rosyjscy prawią o takich ogromnych ustępstwach, które rzucają Polaków na fale szkodliwych marzeń. To są oczywiście złośliwe plotki, których cel rozumiemy. Rosyjskich szowinistów nietyle gniewa to, że język polski stanie się przedmiotem obowiązkowym w gimnazyach, ile to, że cały zarząd policyjny przestanie się opierać na niezliczonem mnóstwie doraźnych, sprzecznych między sobą rozporządzeń, wydanych od lat trzydziestu. W każdym wypadku, stosownie do okoliczności i różnych względzików, mogą zarządy policyjne i straże posługiwać się tem lub owem rozporządzeniem, z czego powstaje zupełna dowolność, niezaprzeczenie wygodna dla czynowników, ale szkodliwa dla kraju. Od lat trzydziestu trwa naprzykład chwilowe rozporządzenie, że policya ma prawo wziąć każdego obywatela pod swój nadzór, co jest kuratelą nadzwyczaj surową, krępującą nawet zmianę mieszkania. Obywatel, będący pod nadzorem, musi raz na tydzień stawać do raportu policyjnego, a to w najlepszym razie naraża go na stratę czasu. Rewizya rozporządzeń doraźnych wydobędzie z ich stosu zapomniane ustawy, które, choćby były złe, zawsze są lepsze od dowolności. Do tego zmierza ks. Imeretyński, zgodnie z przyrzeczeniem, danem wtedy, gdy obejmował urząd jeneralnego gubernatora, że przywróci panowanie prawa. Mogą się uspokoić szowiniści rosyjscy: nic innego on nie czyni.

Komitety przedwyborcze: Poznański, Zachodnio i Wschodnio-pruski, oraz warmijski wydały już do wyborców polskich odezwę, w której przypominają obowiązek solidarnego głosowania na kandydatów, wybranych na walnym zjeździe delegatów okręgowych, a zatwierdzonych przez komitet prowincyonalny. Takie postępowanie uchwaliło sobie samo społeczeństwo wielkopolskie, gdy przed laty ułożyło porządek akcyi przedwyborczej. Dlatego też odezwa przypomina tylko obowiązek solidarności i oświadcza, że nie może wątpić o jej dochowaniu przez cały ogół polski. Między zaleconymi kandydatami nie ma ani jednego ludowca, ponieważ żaden z nich nie otrzymał większości na zgromadzeniach przedwyborczych, co stwierdzono na walnym zjeździe delegatów. Nie jest to zatem ostracyzm, jak dowodzą pisma ludowców, lecz ścisłe spełnienie postanowień statutu przedwyborczego. W. ks. Poznańskie dzieli się na 15 okręgów wyborczych; z nich w trzynastu postawiono kandydatów polskich — samych dotychczasowych posłów — a w dwóch polecono wybrać z Niemcami kadydata kompromisowego. Prusy Wschodnie, Zachodnie i Warmia wybierają czternastu posłów. Tam również postawiono wszędzie polskich kandydatów, ale po to tylko, aby ich przeprowadzić jeśli nie w jednym, to w drugim, albo w trzecim okręgu. Tak naprzykład ks. Wolszlegier kandyduje w pięciu okręgach.

Oczywiście, wszędzie postawiono także kandydatury niemieckie — i te solidarnie przez wszystkie stronnictwa. Tego przykładu nie naśladowali polscy ludowcy i socyaliści, którzy także, gdy im na rękę, przyznają się do polskości. Ludowcy, choć szans nie mają, postawili kandydatów wszędzie, a socyaliści na całe Poznańskie, Szląsk, obie prowincye pruskie i i Warmię zalecają 15-tu kandydatów. Naturalnie, odrębna akcya ludowców i socyalistów wyjdzie na korzyść Niemców, bo się głosy polskich wyborców rozstrzelą, co przy małej liczebnej przewadze ich nad wyborcami niemieckimi będzie miało decydujące znaczenie.

Cesarz Wilhelm rozesłe w tych dniach do wszystkich panujących książąt wyznania protestanckiego, do wysokich dostojników w luterskiej hierarchii i do posłów zarówno na sejmy krajów niemieckich, jak i do parlamentu zaproszenie do Jerozolimy, gdzie 18 października, w rocznicę urodzin cesarza Fryderyka II, odbędzie się poświęcenie pierwszej luterskiej kirchy. Z tego powodu będzie tam ogromna uroczystość, na którą pojedzie także cesarzowa niemiecka z dziećmi. Jak rząd turecki nadskakuje Wilhelmowi II widać z tego, że nietylko od paru miesięcy osobna komisya porządkuje drogi prowadzące od morza do Jerozolimy i samo to miasto, ale nadto teraz, gdy postanowiono, że pojedzie cesarzowa z dziećmi, kazał osobne molo zbudować w zatoce Akra, ponieważ tam wyląduje cesarska rodzina, a nie w Jaffie, gdzie zwykle przybijają okręty, a tę zmianę zarządzono dlatego, że zatoka Akra jest spokojniejsza od portu w Jaffie. — Niemieckie okręty popłyną z zaproszonymi gośćmi z jakiegoś portu w południowych Włoszech i przybędą do Jerozolimy o kilka dni przed cesarską rodziną. Jeszcze wcześniej stanie tam wielki marszałek dworu berlińskiego z całym swym departamentem, aby dla wszystkich przygotować odpowiednie lokale. Sułtan wyszle mnóstwo baszów i kilku swych krewnych, dywizyę najlepszych wojsk i tle jazdy, aby z niej można było utworzyć kordon wzdłuż drogi od morza do Jerozolimy.

Wiadomo, że w Anglii od pewnego czasu rozwija się coraz silniej prąd katolicki nietylko między zwolennikami różnych sekt, których tam niezliczone mnóstwo, ale także między wyznawcami państwowego kościoła anglikańskiego. Jeszcze przed [illegible] laty katolik nie miał w Anglii wielu praw obywatelskich, nie mógł być deputowanym, ani piastować publicznego urzędu, a świątynie katolickie musiały na zewnątrz wyglądać jak zwykłe czynszowe domy. Po zniesieniu tych ograniczeń począł katolicyzm rozwijać się tak silnie, że w końcu zaczęto przepowiadać powrót całego narodu na łono naszego Kościoła. Aby zatamować ten prąd, hierarchia anglikańska sama zaprowadziła w rytuale zmiany, które uczyniły nabożeństwo anglikańskie podobnem do katolickiego, oraz wprowadziła różne instytucye katolickie, jak naprzykład zakony. Lecz i to nie pomogło. Teraz zaś — jak donoszą z Londynu — nadzwyczajne wrażenie sprawił tam fakt, że dwie nader wybitne osobistości przeszły na łono Kościoła katolickiego w sposób bardzo uroczysty. Zrobił to głośny prawnik, główny sędzia londyński Henryk Hawkins i wódz liberalnej opozycyi w parlamencie, minister w gabinetach Gladstone'a i Rosebery'ego, John Morley. Przykład ich tak podziałał, że podobno setki rodzin zgłosiły się do londyńskiego arcybiskupa z prośbą o katechizacyę. *Daily News* nazywa to epidemią.

Polityka Stolicy Apostolskiej.

W miesięczniku naukowo-politycznym *Deutsche Revue* ukazał się poważny artykuł p. t. „Polityka Leona XIII i jego dyplomacya“. Autor rozprawy, kryjący się pod pseudonimem M. Fiamingo, wywiera w rozprawie tej chwilami takie wrażenie, jakby istotnie przypatrywał się zblisko stosunkom Watykanu i znał dokładnie panujące tam opinie i tendencye polityczne.

Pan Fiamingo rozwodzi się przedewszystkiem szeroko nad [illegible] sympatyami Watykanu dla Hiszpanii i kładzie silny nacisk na to, że Leon XIII, jako ojciec chrzestny małego króla hiszpańskiego, obdarza królowę regentkę wyjątkową przyjaźnią i w zamian jest przedmiotem najgłębszej czci na dworze hiszpańskim.

„Stosunki między Watykanem a królową regentką — pisze — są tak poufałe, jak między członkami jednej rodziny.“ To też w chwili obecnej sympatye Leona XIII są w całej pełni po stronie Hiszpanii i uczyniono wszystko, co było w mocy Ojca św., aby powstrzymać katastrofę wojenną „Dla Leona XIII pogrom Hiszpanów znaczyłby tyle, co zwycięstwo protestantyzmu nad katolicyzmem. Ojciec św. powtarza od kilku dni bezustannie osobom zaufanym, iż godzina jego wybiła, bo Opatrzność Boska nie dopuści, aby spoglądał na klęskę tak blisko sercu papieskiemu stojącego ludu. Rozczarowanie było dla świętego starca gorszem od ciężkiej choroby, a w początkach maja przyboczny jego lekarz Lapponi drżał o życie dostojnego pacyenta.“

W dalszym ciągu rozwodzi się p. Fiamingo nad mistrzowską dyplomacyą Watykanu. Jeżeli Leon XIII — mówi on — żyje w dobrych stosunkach ze wszystkiemi prawie rządami, to pochodzi to stąd, że posiada charakter nawskróś przeciwny Piusowi IX który w chwili zgonu pozostawił Watykan w groźnem rozdwojeniu z Niemcami, Rosyą, Anglią i t. d. Pierwsza troska Leona XIII skierowana była ku temu, aby między Europą a tronem papiezkim zbudować złote mosty zgody. Udało się to w znacznej części, choć stosunek Watykanu do Austryi i Niemiec jest nieco chłodny. Prasa papiezka uderza ostro na trójprzymierze i zwraca się przedewszystkiem przeciwko Wiedniowi i Berlinowi Natomiast dwuprzymierze posiada stanowcze sympatye dworu watykańskiego, którego prasa obsypuje je najgoretszemi pochwałami. „Watykanowi chodzi usilnie o to, aby stosunek jego do Rosyi pozostał jak najprzyjaźniejszym, a wszystkie swoje nadzieje, skierowane ku odzyskaniu władzy świeckiej, opiera głównie na Francyi“.

Od roku 1887 stała się Francya zaciętym przeciwnikiem państwa włoskiego i od roku 1887-go ani jedno mocarstwo nie wywiera tak silnego wpływu na Watykan, jak Francya. Leon XIII i kardynał Rampolla postępują w całej tej dyplomacyi z zadziwiającą zręcznością.

Znamiennym objawem żywych sympatyi Ojca św. i kardynała Rampolli dla Francyi, jest stanowisko Watykanu wobec kwestyi europejskiej opieki nad chrześcijanami na dalekim wschodzie, — kwestyi, którą, jak wiadomo, Niemcy postawili na porządku dziennym. „Polityczne czasopisma rozprawiały przed kilku miesiącami szeroko o przybyciu monsignora Jana Babtysty Anzera, dyrektora seminaryum misyi wschodnich w Steyl i biskupa Telepty do Rzymu. Zawitał on *ad limina apostolorum*, aby obradować z Leonem XIII tym, kardynałem Rampollą i prefektem propagandy, kardynałem Ledochowskim, o dalszem rozszerzeniu niemiecko katolickich misyi w Chinach. Wkrótce po wizycie Anzera udał się ks. biskup Kopp do Rzymu. Mówiono wtedy także, że telegramy kardynała Koppa i arcybiskupa Stablewskiego, zawierające gorące życzenia dla cesarza Wilhelma, gdy ks. Henryk wyjeżdżał do Chin, były przez Ojca świętego nietylko uznane za słuszne, lecz nawet zalecone. Jestto zupełnie mylne przypuszczenie. Mogę tu z wszelką stanowczością zapewnić, że podróż kardynała Koppa i monsignora Anzera do Rzymu były zupełnie chybione i celu swego nie osiągnęły. Faktem jest, że rosnące wpływy niemieckie w Chinach budzą zazdrość francuską i dlatego nie znajdują sympatyi Leona XIII go.“

Z drugiej strony zaznaczyć wypada, że silną jest także grupa bezwględnych przeciwników francuskiego wpływu na dworze watykańkim. „Ta grupa, przeciwdziałająca wpływom kardynała Rampolli, może łatwo zdobyć przewagę w najbliższem *conclave* i powołać na tron papiezki niemieckiego papieża (?). Było to przed kilku laty przekonaniem ś. p. kardynała Galimbertí“.

W końcu ciekawej, choć nasuwającej tu i ówdzie wątpliwości pewne, rozprawy, wywodzi p. Fiamingo, że widoki na wybór Papieża nie-Włocha są bardzo znaczne. Obecnie składa się święte kolegium z 60 karoynałów, z których połowa nie jest włoską. Po śmierci Piusa IX było tylko ośmiu kardynałów cudzoziemców przy Watykanie i nigdy jeszcze za czasów panowania papieży w Rzymie liczba obcych kardynałów nie stanowiła takiej potęgi, jak w chwili teraźniejszej.

Co i o czem piszą.

Czas z szczerem zadowoleniem wita ten fakt, że w obecnych czasach, w których poważna praca organiczna idzie oporem, a natomiast każda robota rozkładowa postępuje żwawo. udało się przecież przeprowadzić gładko tak doniosłe dzieło, jak reforma statutów krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń. — Reforma ta była istotnie konieczna.

Pierwszy statut, — pisze *Czas* — skrojony przed trzydziestu kilku laty jak sukienka dla dziecka, stał się niewystarczającym dla instytucyi, która tak potężnie i wszechstronnie się rozwinęła w różnych swych działach, że przerosła instytucye analogiczne w innych krajach, stanowi wzór samopomocy, a właściwie wzajemności społecznej; że nadto ta instytucya jak macierz, otoczyła się całym szeregiem innych ekonomiczno-finansowych zakładów, które z niej wzięły swój początek. O potrzebie reformy od dawna mówiono, lecz dopokąd wszystko szło dobrze, trzymano się rutyny i tradycyi, przyznać należy, zbyt patryarchalnej, niedość ścisłej i fachowej Bolesna katastrofa, która o wiele dotkliwszą moralnie przyniosła klęskę, niż stratę materyalną, wzbudzić musiała z jednej strony słuszne potępienie i zaniepokojenie, lecz z drugiej wywoływała uczucie, na które nie ma na szczęście polskiego słowa, choć niestety znanem ono jest i częstem w naszem społeczeństwie — uczucie *Schadenfreude*. Jedni nie taili radości, że instytucya, stworzona przez szlachtę, chociaż nie dla szlachty, lecz dla solidarnego interesu wszystkich warstw społecznych — przebywszy zaszczytnie i bez zarzutu trzydzieści lat, okryła się plamą — inni cieszyli się, że w Krakowie zdołają wreszcie odkryć Panamę. Odpowiedzią była dobrowolna ofiara członków Rady nadzorczej, pokrywających z prywatnych kieszeni deficyt, spowodowany nadużyciem jednostki. Wobec milionowych zapasów kapitału rezerwowego i milionowych korzyści corocznych, jakie Towarzystwo krajowi przysparza, ofiara ta, może zbyteczna, była czynem, podnoszącym niezmiernie moralny poziom w sprawach grosza publicznego. Cześć Towarzystwa znów zajaśniała w pierwotnym blasku. O sanacyi nie było już mowy, bo Towarzystwo stało i stoi na tak silnych podstawach iż chwilowa burza nie zachwiała zaufaniem ani w kraju, ani za granicą.

W dalszym ciągu wskazuje *Czas* na przypadkowy zbieg okoliczności, iż referat zmiany statutu przypadł hr. Andrzejowi Potockiemu, a więc synowi głównego założyciela Towarzystwa, który dostarczył materyalnej podstawy do wstępnych czynności i przewodniczył pracom nad ułożeniem pierwszego statutu. Nowy statut jest dziełem gruntownej pracy, wzmacnia fachową kontrolę i zapewnia uprawnionym odpowiedni udział w wykonywaniu nadzoru. Wprowadza on zamiast dotychczasowych ogólnych zgromadzeń członków zebrania delegatów. Tę zmianę uważa *Czas* za bardzo pożyteczną i tak pisze:

Przy niezmiernym i ciągle się wzmagającym rozwoju Towarzystwa, ogólne zebrania członków przypominać mogły nasze dawne pospolite ruszenia, które nie tylko na wojnę, ale chętniej jeszcze na sejmiki zjeżdżały. Czy taki przypadkowy zjazd dawał odpowiednie rękojmie wobec instytucyi finansowej, czy zapewniał pewną równomierność dla interesowanych, skoro zawsze łatwiej zgromadzić się miejscowym lub okolicznym, niż przybyć do Krakowa z dalekich stron kraju? System delegacyi, wypróbowany w Towarzystwie kredytowem w Królestwie i w Galicyi, przedstawia o wiele więcej korzyści i słuszności.

Z uznaniem stwierdza dalej *Czas*, że jakkolwiek dyskusya była bardzo ożywiona, a walka chwilami gorąca i wyłoniły się nawet chwilowe nieporozumienia, atoli opozycya nie dążyła bynajmniej do obalenia dzieła, lecz tylko do jego modyfikacyi i dla tego poszło ono szczęśliwie. Zwyciężyły myśli zdrowe i dodatnie, a między mniejszością i większością rzucono pomost zgody i wyrozumienia. Z tego powodu wysnuwa organ krakowski następujące piękne konkluzye:

Rezultat ten budzi dobrą otuchę. Nie na jednem polu potrzeba nam zmian i reform, potrzeba starcia zdań, a uśmierzenia uprzedzeń. Sfera intere-

---

13)

Pan Podfilipski.

(Ciąg dalszy).

Zabawa w Ustroniu, jakkolwiek sama w sobie była nader drobnym faktem, przecież pośrednio wpłynęła na dalsze losy Falbanki. Dowiedziawszy się bowiem, że pan Zygmunt był w Ustroniu z kilku paniami i wierząc temu, co opowiadano o przebiegu tej zabawy, poczęła mu czynić wyrzuty, że ją zaniedbuje, że jej nie kocha i t. d. Znudzony tem pan Podfilipski, postanowił usunąć ją na jakiś czas z Warszawy, i w tym celu przekonał ją, że najlepiej będzie dla niej, jeżeli zdobędzie sobie jakieś samoistne stanowisko, a następnie polecił ją bratu Tomaszowi jako nauczycielkę dla jego dzieci.

Z początku obawiał się pan Podfilipski, że braterstwo, poznawszy dobrze protegowaną, odeślą ją, a jemu za zły wybór wyrzuty czynić będą, ale już po kilku dniach, otrzymawszy list pana Tomasza, uspokoił się zupełnie w tym względzie. Pan Tomasz pisał:

„Kochany Zygmuncie! Zawsze wiedziałem, że jesteś uniwersalny, ale twoje talenty pedagogiczne nie były mi dotychczas znane. Dowiodłeś ich, przesyłając nam panią Darnowską, za którą wszyscy Ci dziękujemy. Zgadujesz łatwo, że mnie odrazu się podobała, bo wygląda, jak osierocony elf. Ale kobiety mają czasem sympatye dla sierót, a dla elfów — żadnych; więc Alince wydała się za ładną.

„Po pierwszym obiedzie, przy którym pani Darnowska ledwo się ośmieliła, na moje kategoryczne żądanie, przyznać, że wiejska pieczeń twardsza jest od warszawskiej, — Alinka wzięła ją na zasadniczą konwersacyę, w której przedstawiła wieś, jako klasztor, pełen ciszy, szmerów modlitwy, a pozbawiony wszelkiej pozłoty (vulgo: rubli). Pani Darnowska zgadzała się na wszystko, jak na łaskę, a na zakończenie — bac Alinkę w rękę! To chociaż oryginalne, ale ją ujęło, bo widać, że już całe „obywatelstwo“ wywietrzało tej pani z głowy, a jest po prostu biedną istotą, która chwyta się materyalnego i moralnego sposobu do życia.

„Teraz oswoiła się z nami i wygląda uradowana. Dziewczynki bawią ją, jak lalki. Ubiera je, rozbiera swemi wypieszczonemi łapkami i tak zręcznie — a jednak nigdy dzieci nie miała. Mania woła na nią „Anka“, ale one chce sobie dodać powagi i surowo zabrania tak się nazywać. Zresztą bawi dzieci ogromnie, i z ich pokoju słychać cały dzień nowe dźwięki francuskie.

„A ile ona ma lat? Pisałeś, że 26, a to takie młode i dziecinne, że nikt że służby nie chce mówić „pani“, tylko panna Darnowska. Także się za to gniewa, tylko, jeżeli ją znasz, to wiesz, jak ona się gniewa: „O, proszę bardzo, niech Walenty tak mnie nie nazywa!“ Stary Walenty już się w niej kocha, bo ją traktuje, jak osobę z rodziny, czyli z należną ironią: „Jakieś to takie filigranowe, proszę pana — mówi do mnie — że to na półkę postawić; ale nie ma co gadać — swojego zajęcia patrzy“.

„Poważniej trochę mówiąc, wydaje mi się bardzo dobrze wychowaną, ale oczywiście nie może mieć pojęcia o jakiejś naukowej metodzie. Przywiozła ze sobą kilkadziesiąt tomów; widocznie musiał jej księgarz wpakować wszystko, co miał, z książek elementarnych. Chciałem jej zwrócić pieniądze, ale mi odpowiedziała: „Nie, to moje książki“. — „Więc niechże pani zatrzyma z nich te a te, a resztę ja odeślę księgarzowi na mój rachunek; są nierozcięte i zupełnie nam niepotrzebne, więc je księgarz weźmie w zamian za kilka dzieł, których ja potrzebuję“. — „Jaki pan dobry!“ Masz zupełne wrażenie, że ci ktoś oddał na wychowanie czy przechowanie dorosłą córkę, tylko się trzymać trzeba, żeby ją nie pogładzić po włosach, albo nie pocałować w czoło na dobranoc. Słowem — jesteśmy, jak widzisz z panią Darnowską już w najlepszej komitywie“.

Przytoczyliśmy cały list pana Tomasza, gdyż on znakomicie charakteryzuje panią Darnowską, a zarazem pokazuje jak autor nielicznemi rysami potrafił odtworzyć wyraziście i sympatycznie postać tej biednej kobiety.

Zostawiamy panią Darnowską w Cisowie u Pp. Tomaszów Podfilipskich, a wracamy do Warszawy, żeby znowu wykazać, jakie stosunki miał pan Podfilipski ze światem literackim. Autor uwydatnił i tutaj niepospolity talent, malowania postaci kilku dobrze zaobserwowanymi szczegółami. Daje on tylko jeden rozdział dla określenia wspomnianych stosunków pana Zygmunta, a mianowicie opisuje bankiet, dany na cześć jednego z jubilatów literatury. Jak świetnie tym jednym opisem przedstawił autor cały świat literacki Warszawy, poznają czytelnicy sami, gdyż znowu ten rozdział przytaczamy w całości:

* * *

Sala była oświetlona rzęsiście, stoły zastawione w podkowę. Roiły się fraki, dobrze i źle skrojone, białe krawaty poprawne i dziwaczne, czupryny modnie wystrzyżone i fantastyczne. Uderzała każdego, kto wchodził, wielka liczba okularów. Były starożytne okulary, spoczywające na wielkich szarych twarzach, były i złote *prince-nez* pretensyonalne i przenikliwe, silne szkiełka z niewidzialną oprawą i wyzywające monokle. Wierzchni ten pozór zacierał się po wejściu w tłum i przypatrzeniu się twarzom; każda z nich miała swe piętno odrębne, zwykle nerwowe, rzadko pospolite. Nie było dwóch równych Ajaxów w tem zebraniu; przechadzały się same Agamemnony, Nestory, Achillesy, jedni do bogów podobni, drudzy bardziej do ludzi.

Około poważnych wiekiem lub zasługą skupiały się stojące grupy. Nie wszyscy znali się pomiędzy sobą: przedstawiali się często jedni drugim. Po sali krążyły też postacie luźne nieznane nikomu, przysłuchując się od czasu do czasu rozmowom.

Wpadł mi w oko jeden pan o ciężkim chodzie, ubrany w czarny sukienny surdut i biały krawat. Chodził, pochylając barczystą postawę, jedną ręką trzymał się za długą, wąską brodę puszczoną tylko od podbródka; wygolone policzki miał kościste, oczy głęboko osadzone, czarne i świdrujące. Musiał tu przybyć z Mińska, albo Szawel: wiało nawet od niego dalszym wschodem.

Uczta jubileuszowa naznaczona była na godzinę dziewiątą, ale dochodziła już dziesiąta, a jubilat jeszcze się nie zjawił. Pewien szmer u wejścia zwrócił moją uwagę. Nie, to nie jubilat, to pan Zygmunt Podfilipski. Wszedł bez pretensyi, prostując tylko okazałą postać — i rozjaśniło się jeszcze bardziej w sali od jego świeżego gorsu i zadowolonego uśmiechu. Widać było, że czuł się najlepiej ubranym z całego towarzystwa, odbijał od niego czarnym połyskiem sukna, świeżością bielizny i jedwabiem włosów. Zawsze był pięknym mężczyzną i typ swój wystudyował dobrze co do ubrania i postawy. Wywarł na niektórych wrażenie; kilku nowożytniejszych podeszło do niego z serdecznymi uściskami dłoni i z pytaniami, co się dzieje w Paryżu. Chociaż pan Zygmunt i nie wracał z Paryża, pytano go zwykle, co tam słychać nad Sekwaną.

Gdy mnie spostrzegł, zaproponował mi sąsiedztwo przy kolacyi, upatrzywszy sobie wygodny kąt sali przy załamaniu zewnętrznem stołów, skąd widać było i słychać dobrze. Zaprosił też do tego kąta paru przyjaciół, należących lewą ręką do literatury, prawą zaś do europejskiej *haute boheme*.

W pięć minut później szmer urósł i ucichł nagle. Przez drzwi szeroko otwarte, wśród szpaleru pochylonych głów i wyciągniętych dłoni, wchodził biedny jubilat, blady jak chusta, ściskany, ściskający, chory ze wzruszenia oparty na dwóch omszałych karyadytach naszego piśmiennictwa.

Zaczem wszyscy siedli, i my zajęliśmy umówione miejsca. Naprzeciwko nas, po chwili wahania, zasiadł ów chudy, barczysty litwin, i przeżegnawszy się, zaatakował poważnie przekąski. Wyglądał dziwacznie w źle zrobionym, starożytnym surducie, wobec wytwornej postaci pana Zygmunta i prawie równie strojnych, choć nieco pospoliciej wymuskanych dwóch „nowożytnych“ najlepszego gatunku. Ten kąt sali był jakby oprawiony w ateński portyk; opodal szemrał lud rozliczny, a u samego progu siedział barbarzyniec i pasł się. Mimo, że zebranie było bardzo różnorodne, że ludzie siedzący obok siebie, często się nie znali, powstał odrazu gwar elektryczny, przejmujący wszystkich wesołym intelektualnym prądem. Prawie całe grono ludzi składało się z pracujących mózgiem i nerwami. Oczekiwanie mów i toastów podniecało też ciekawość.

(Ciąg dalszy nastąpi).

sów ekonomicznych i finansowych, zbyt długo zaniedbana, coraz więcej i coraz częściej winna nas jednoczyć, aby podeprzeć to, co już stoi, a stworzyć coś nowego. Mniej będziemy mieli polityczno-socyalnych rozpraw i agitacyi, jeśli w duchu wzajemności i solidarności zstąpimy na to pole, na którem tak wiele zadań dla ogólnego dobrobytu, dla wyzwolenia kraju i wszystkich warstw społecznych z pod nacisku i wyzysku obcego kapitalizmu czeka na inicyatywę lub poparcie.

Towarzystwo ubezpieczeń wskazało przed laty ten kierunek wzajemności, wyprzedzając wielkie problemata socyalne. Z tej latorośli wiele powstało odrośli, jak Towarzystwa zaliczkowe, które tak dzielnie się przyczyniają do zwalczenia lichwy, do tworzenia małych oszczędności i do ułatwienia kredytu. Pod tym sztandarem wzajemności idźmy dalej przeciw wszelkim wyłącznościom. Czekają nas tu ważne zadania, jak syndykaty dla większego i mniejszego przemysłu, spółki rękodzielnicze, sklepiki chrześcijańskie, kasy systemu Raifeisena, a chociażby nawet, gdzie się tego konieczna okaże potrzeba, syndykaty robotnicze.

Niech inicyatywa idzie z góry, ogarnia kraj cały i dosięga najniższych warstw społecznych. Idąc w tym kierunku, nie tylko zwalczymy działanie rozkładowe, lecz otworzymy nowe źródła bogactwa krajowego. Im więcej podobnych powstanie węzłów, na solidarności i wzajemności opartych, tem trudniejsza robota tych, którzy przeciwieństwa ekonomiczne biorą sobie za hasło do walk wewnętrznych, tem prędsze i pewniejsze zwycięstwo harmonii społecznej.

* * *

Gazeta techniczna omawia sposób załatwienia przez Radę miejską sprawy obsadzenia gazowni miejskiej. Jak wiadomo *sławetna* Rada miasta Lwowa zamianowała p. Teodorowicza ze Stanisławowa dyrektorem gazowni miejskiej, a równocześnie mianowała p. Vossa inspektorem tejże gazowni i przyznała obu tym panom po 3000 złr. pensyi rocznej. Z tego powodu *Gazeta techniczna* pisze co następuje:

A zatem sprawa załatwiona według przysłowia: nie kijem go, to pałką. Krzyczeli wszyscy, by Niemca usunąć z dyrektorstwa, wszystkie dzienniki solidarnie i jednogłośnie oponowały przeciw p. Vossowi, a żądały nominacyi Polaka, zatem trzeba było zrobić Polaka dyrektorem—ale obserdyrektorem p. Vossa. — Bo śmiesznem po prostu jest nominacya inspektora z płacą równą dyrektorowi. Inspekcya podobnego zakładu polega na tem, by od czasu do czasu przejść się po zakładzie i skontrolować, że wszystko idzie przepisanym trybem i zdać sprawę przełożonej władzy. Zatem jest to czynność sporadyczna, która pozostawi p. Vossowi całutki dzień boży na spacery po strzelnicy i na spijanie pilznera. Jeżeli zatem dyrektor będzie od świtu do ciemnej nocy pracował w gazowni i w biurze, a p. inspektor będzie spacerował, to z jakiego tytułu będzie ten ostatni pobierał płacę równą dyrektorowi? Nie wchodzimy nawet w rozbiór pytania, czy taki inspektor będzie p. dyrektorowi potrzebnym, bo już post festum i najwięcej nawet fachowa opinia nie ma obecnie celu, — ale nie możemy pominąć tego milczeniem, że Rada miejska niesumiennie szafuje groszem publicznym i rzuca tysiącami tam, gdzieby się bez wydatku obeszło. P. Voss otrzymał tedy drugą synekurę, bo już dawno jest inspektorem gazowni krakowskiej, może przyjaciele jego wyrobią mu jeszcze podobny urząd w Stanisławowie, by mógł sobie codziennie rano i wieczór nucić piosnkę na temat: Dumme Polaken. I miałby racyę! U nas wszystko dla obcych, — dla naszych nic!

Mały Fejleton.

Przyjęcie fin de siècle.

Siedzieliśmy na werandzie jednej z najbardziej uczęszczanych kawiarni Paryża, pijąc aperitif, a było to około 3-ej godziny, t. j. w czasie, kiedy wszyscy szanujący się paryscy mężczyźni powinni pić apertif, a ich damy ze swoimi kawalerami *fife o'clock-tea* (popołudniową herbatę). Siedzieliśmy tedy gapiąc się, jak się gapią na nas inni przechodzący obok nas ludzie. Naraz mój towarzysz ożywił się, wstał i zaczął się wpatrywać w masę ekwipaży, poruszających się po bulwarze, jakby tam kogoś zobaczył.

— *Pristi! Mais sans doute c'est lui!* wykrzyknął.

— *Qui donc?*

— *Mais* Berkins... mój znajomy... czy go pan widzisz w tym automobilu poza omnibusem?... Pst, Berkins, pst!...

Jegomość w automobilu obejrzał się i spostrzegłszy znaki mego przyjaciela, zwrócił swój ekwipaż w naszą stronę i wkrótce zatrzymał swój automobil przed naszą kawiarnią. Był to mr. Berkins, Amerykanin. Wysiadł on z powozu, przywitał się z nami uprzejmie i usiadł. Zamówiwszy sobie czarną kawę z koniakiem palił w milczeniu swoje cygaro hawańskie. Po chwili zapytał mój przyjaciel Amerykanina jak idą jego prace?

— *Thank you*, dość dobrze — odpowiedział Berkins.

— Czyś pan coś nowego wymyślił?

Amerykanin kiwnął głową.

— Cóż to takiego? czy tajemnica?

— Przyjedź pan do mnie, a zobaczysz.

— Z przyjemnością... ale w takim razie pozwoli pan i mojemu przyjacielowi ujrzeć te cuda?

— Jeśli chcecie, to pojedziemy zaraz — zaproponował Amerykanin — bo ja właśnie wracam do domu.

Siedliśmy tedy do automobilu, a ja po drodze zapytałem mr. Berkinsa, czy nie boi się zostawiać swego ekwipażu na ulicy tak bez żadnego dozorcy, jak to dopiero co uczynił. Wszak ktokolwiek mógłby coś popsuć albo nawet ukraść ekwipaż.

— *O no... is no danger* (o nie, nie ma obawy). To elektryczny automobil. Opuszczając go, zamykam go na klucz i wtedy prąd jest przerwany, a bez tego klucza nikt nie potrafi przywrócić połączenia mechanizmu z akkumulatorami.

W kilku słowach objaśnił nam mr. Berkins urządzenie swego automobilu. Akkumulatorów jest w nim 40, umieszczonych pod kozłem, a są one połączone z elektromotorem, znajdującym się w tylnym przedziale. Zapomocą walca i łańcuchów wprawia elektromotor w ruch osie tylnych kół, które tym sposobem są kołami wiodącymi. Minimalna szybkość automobilu wynosi 5 km. na godzinę, maksymalna 15 km.

— Jest to — mówił Berkins — chyżość stosunkowo dość mała w porównaniu z chyżością automobilów parowych i naftowych, które potrafią ujechać 50 km. na godzinę. Ale taka szybkość nie jest potrzebną wśród miasta, natomiast mój wóz jest zupełnie bezpiecznym, czego o innych automobilach powiedzieć nie można. Zapomocą tej oto rączki reguluję szybkość, pociągając rączkę naprzód przyspieszam jazdę, ciągnąc ją w tył zmniejszam szybkość, a gdy ją posunę poza punkt zero, ekwipaż zacznie jechać w tył. Nakoniec, ażeby ekwipaż od razu zatrzymać, wystarczy nacisnąć nogą ten guzik.

I to mówiąc nacisnął nogą guzik, a wóz zatrzymał się tak raptownie, żeśmy się wprzód pochylili. Wreszcie po godzinie jazdy znaleźliśmy się poza miastem między Neuilly a Levallois-Perret, a automobil Berkinsa zatrzymał się przed dużą dwupiętrową willą, wyglądającą na zamek. Na drugiem piętrze wznosiła się wieżyczka zakończona ostrokończastą kopułą.

Skoro wjechaliśmy w bramę, mr. Berkins świsnął, jako odpowiedź posłyszeliśmy szczekanie i ryk i wkrótce nadbiegły w susach dwa wielkie duńskie dogi, za nimi zaś nadbiegł murzyn i żywa pantera.

— Nie bójcie się moich zwierząt, one nikomu nic złego nie robią — rzekł do nas Amerykanin, widząc że wysiadamy trwożliwie z ekwipażu i patrzymy z ukosa na panterę.

Tymczasem dogi ujadały i parskały z radości, a pantera jak kotka ocierała się głową i plecami o nogi swego pana, wydając przytłumione ryczenie, które na nas nieprzyjemnie działało. Berkins podszedł teraz ku domowi, a zatrzymawszy się przed ciężkimi dębowymi drzwiami, nacisnął jeden z metalowych guzików, w krąg przy drzwiach umieszczonych. Dał się słyszeć silny dźwięk, jakby od uderzenia młotkiem w płytę miedzianą i w tej chwili drzwi otworzyły się na oścież.

— To wynalazek mr. Berkinsa — wytłómaczył mi mój towarzysz.

Zamiast w przedpokoju, ujrzeliśmy się w niewielkiej zimowej oranżeryi. Berkins znowu nacisnął czy też odkręcił coś w ścianie, a mnie wyrwał się z piersi mimowolny okrzyk: „Ach, jakież to wspaniałe!“ Nagle bowiem ogród został oświecony ogromnie przyjemnem zielonem światłem. Patrząc uważniej, spostrzegłem, że światło to pochodzi od całego mnóstwa elektrycznych lampek, ukrytych w zieleni ogrodu. Były one zrobione z seledynowego szkła, a otaczające nas podzwrotnikowe rośliny zdawały się rozkoszować w tem zielonem świetle... Palmy pochylały powitalnie swe wierzchołki, banany łaskawie poruszały liśćmi, a wysokie tropikalne paprocie stały nieruchomo jak zawstydzone dziewice, pełne gracyi, lekkie... Jak oczarowany patrzyłem na ten widok a kiedy o kilka kroków odemnie zaczęła się przeciągać pantera, chwyciwszy przedniemi łapami za pień palmy, zdawało mi się, że jestem w afrykańskiej puszczy...

— Panowie, jestem głodny — przerwał nam nasze zachwycenie mr. Berkins — a wy raczcie obiadować razem ze mną. Chodźmy do sali jadalnej. — No, no, nie wymawiajcie się! *My house — my castle*, jesteście tu moimi więźniami i musicie być posłusznymi.

Poszliśmy tedy za nim. Zrobiwszy kilka kroków mr. Berkins wszedł na platformę, na której stała duża sofa z baldachimem, tak że tworzyła rodzaj pokoju. Usiadł on na niej, rzekł do nas: „*Take place*“ (proszę siadać). Siedliśmy więc także.

— „To ma być jadalnia?“ przyszło mi na myśl; gdy w tem uczułem, że się podnosimy w górę! Pokazało się, że siedzieliśmy na szczególnego rodzaju windzie. Spojrzałem w górę i mimowoli krzyknąłem; nad nami był sufit. Jeszcze chwila a będziemy zmiażdżeni jak muchy.

— *Be quiete* (Bądźcie spokojni) —rzekł Berkins.

W tej chwili ujrzałem, że sufit nad nami się cofa, rozchyla i wnet znaleźliśmy się w jadalni. Była to bardzo oryginalna komnata. Długa, bez okien, wybita cała niewiadomo czy skórą czy linoleum żółtego koloru była oświetlona w szczególny sposób. Z sufitu zwieszały się dwie straszne żmije, obrócone do siebie głowami, wysuwając z rozdziawionych paszczy żądła, między którymi świecił rażącem światłem wielki łuk woltaiczny, zalewając potokami promieni i komnatę i długi stół, przy którym zasiedliśmy.

Stół był już nakryty, w około niego ustawione były wybite skórą krzesła w stylu Ludwika XIII, z poręczami a la Louis XIV, a z oparciami Ludwika XV (wszystkie te szczegóły powiedział mi mój przyjaciel Francuz). Ale co za usługa! Takiej jeszcze w życiu nie widziałem W stole, blisko miejsca, gdzie siedzieliśmy, tkwił szklany słup, wbity drugim końcem w sufit. Naokoło niego stały półkolem butelki z winem. I to już wszystko!...

Gospodarz nasz usiadł na czele stołu. Obok niego po prawej ręce wskoczyła na krzesło pantera, która nie wiadomo jak się tu znowu wzięła, a my dostąpiliśmy zaszczytu być jej *vis á-vis*. Tymczasem murzyn położył koło każdego z nas po widelcu, nożu i serwetce. Otwarcie mówiąc *menu* naszego obiadu mało mnie interesowało, o wiele bardziej zajmowało mnie pytanie, co będzie jadło nasze *vis-á-vis*. Czy zadowoli się temi samemi potrawami co my, czy będzie wolała spróbować naszych kości... Mr. Berkins, jakby odgadując moje myśli, pogłaskał pieszczotliwie panterę i rzekł:

— Ona zawsze ze mną obiaduje, moja *little Mary, my darling* (mała Marya, moja pieszczotka)..

— I pan się nie boi?... Powiadają, że te zwierzęta podczas jedzenia — jakby to powiedzieć? — są w złośliwem usposobieniu — zauważyłem.

— Oh, no!... moja Mary jest roztropną. A gdzie jest Bob i Tom? zapytał murzyna

— Myślałem, że gościom wielmożnego pana nie będzie na rękę...—rzekł po angielsku murzyn, kłaniając się w naszą stronę.

— Dlaczegożby? Nieprawdaż, że panowie lubią pieski? — spytał nas Berkins.

Pospieszyłem odpowiedzieć, że psy pasyami lubię, i że będę nadzwyczaj rad znajdować się w towarzystwie Boba i Toma Mówiłem to zupełnie szczerze: zdawało mi się bowiem, że obecność tych dwóch dogów może się przydać na wypadek, gdyby *little Mary* okazała się tego dnia „nieroztropną“...

— Zawołaj je! rozkazał Berkins. Murzyn podszedł ku jednej ze ścian, pocisnął jakiś guzik, a natychmiast otworzyły się bez najmniejszego hałasu ukryte w ścianie drzwi, ukazując jakieś schody Berkins świsnął przeciągle i wkrótce usłyszeliśmy radosne szczekanie dogów. Pantera zwróciła głowę w tę stronę i zaryczała.

— *Be quiet*, Mary! gromko lecz równym głosem zawołał Berkins, patrząc panterze w oczy. Mary natychmiast się uspokoiła, zwinęła ogon i usiadła jak kotka, wysoko zadarłszy głowę i przymrużywszy oczy z wyrazem obrażonej dumy.

— Ona tak z zadrości rozjuszyła się, bo jest strasznie zazdrosną, — objaśnił Berkins.

Bob i Tom wpadły do jadalni jak potwory i zaczęły się łasić koło swego pana Pantera udawała, że ichnie spostrzega, lecz kiedy jeden z dogów przypadkiem trącił ją swoim długim ogonem, wyszczerzyła zęby i zaczęła parskać i sykać. „Przyjemna osoba“ pomyślałem.

— No, dawajcie jeść, — rzekł Berkins i nacisnął guzik przy swojem nakryciu. To ciągłe naciskanie rozmaitych guzików zaczęło działać na moje nerwy. Zdawało mi się, że jeżeli temu niesamowitemu człowiekowi przyjdzie na myśl nacisnąć jakiś iny guzik — to zawalimy się wszyscy razem z jego bajecznym pałacem. I teraz, kiedy on znowu coś tam nacisnął, wyobrażałem sobie: Oto teraz zgaśnie światło, a w ciemnościach zuci się na nas pantera“... lecz zamiast tegoposłyszałem na górze dzwonek a w szklanym słupie przed nami spuszczono na dół jakąś czarną masę. Murzyn otworzył drzwiczki w słupie i wyjął trzy metalowe płaskie talerzyki, grubości pół cala, i postawił je przed nami.

— Nie dotykajcie ich rękami, bo są bardzo gorące,—przestrzegł nas gospodarz. Okazało się, że są to talerzyki z podwójnem dnem, napełnione kipiątkiem tym sposobem pozostające zawsze gorącymi. Nowe dzwonienie a w słupie pojawił się jakiś sos.

— U pana kuchnia widocznie na górze? — spytałem gospodarza.

— Tak. Urządzenie kuchni na dole domu uważam za niedogodne w najwyższym stopniu. Kuchnia powinna się znajdować na najwyższem piętrze domu. Ale skosztujcie tego sosu. Coś podobnego jeszczeście nigdy nie jedli. Przyrządzony jest z elektryzowanego bobu i grochu

Skosztowałem Sos był bardzo smaczny, groszek przypominał nasz słodki groszek i wcale go nie było czuć elektrycznością.

— Ten bób i groch rosły na glebie elektryzowanej. Dzięki elektryzacyi rosną one bardzo szybko i stają się słodkimi... Chcesz Mary?

I nabrawszy na swój talerzyk trochę sosu, postawił go przed panterą. Pantera przysiadła, zwinęła się w kłębek i zaczęła ostrożnie wylizywać sos, zostawiając bób.

— To nie dla ciebie, *darling*, poczekaj jeszcze, podadzą mięso.

Rozmowa się nie kleiła. Amerykanin zamiast nami się zajmować, to rozkazywał psom leżeć cicho, to głaskał Mary, która przymrużała oczy i patrzyła kolejno na nas i na słup. „O czywiście ma ona apetyt na mięso — myślałem — ale jakie? — *that is the fatal question*“ (oto fatalne pytanie). I nie mogąc wytrzymać, spytałem:

— Czy pan *jej* daje mięso przy stole?

— Yes, — spokojnie odrzekł Berkins. W górze rozległo się dzwonienie, a skoro tylko murzyn otworzył drzwiczki w słupie, pantera siadła, wyciągnęła szyję i zaczęła ryczeć. „Mary!“ krzyknął na nią gospodarz i zwierzę natychmiast ucichło. Wkrótce podano nam nową potrawę: były to baranie kotlety.

— Zwróćcie uwagę na to mięso, nie prawdaż jakie ono nadzwyczajnie miękkie? — Poddane było bowiem działaniu przerywanego prądu elektrycznego przez dwie doby... Chcesz, Mary?

Stwierdziłem, że mięso jest istotnie bardzo miękkie, lecz żadnych oznak działania przerywanego prądu nie znalazłem. Zresztą ani mi w głowie było zajmować się w tej chwili tą kwestyą: całą moją uwagę zwracało na siebie nasze centkowane *vis à-vis*. Mr. Berkins wziął jeden kotlet i trzymając go wysoko na widelcu, pokazywał panterze, a ona z lekka rycząc, usiłowała go zdjąć łapą. Wreszcie Berkins rzucił kotlet na podłogę. Pantera uchwyciła mięso jeszcze w powietrzu i zaczęła jeść. Jeden z dogów chciał do niej przystąpić, lecz zwierzę straszliwie zaryczało.

— *Take care* (miej baczność) Mary! — krzyknął Berkins, a pantera umilkła i znowu skoczyła na swoje krzesło, oblizując się i patrząc z ukosa na talerze.

— A czy nie zdarza się, że one się czasem pożrą? — spytałem, pokazując na panterę i na psy.

— Bardzo rzadko — odrzekł Berkins — czy chcecie panowie zobaczyć? — i nie czekając na naszą odpowiedź, wziął na widelec duży kotlet i krzyknął: „Tom!..“

Większy dog, leżący między krzesłem Berkinsa a panterą, wstał, a w tejże samej chwili pantera uderzeniem łapy strąciła kotlet z widelca. Dog chciał chwycić mięso, lecz Mary parsknęła na psa i w następnym momencie już oba dogi i pantera gryzły się, wyjąc tak, że nam aż włosy stanęły dębem na głowie...

Wtedy Amerykanin wyjął z kieszeni rewolwer i strzelił na oślep w kłębek żrących się zwierząt... Na chwilę zwierzęta zreflektowały się i przestały się kąsać. Pantera szczerząc zęby i z jedną łapą podniesioną, stała naprzeciw dogów, które ze zjeżoną sierścią i także szczerząc zęby, chciały się znowu na nią rzucić. Jednak Berkins stanął między psy a Mary i wrzasnął:

— *Back, back*, Tom, Boby, *back* (w tył)! Murzyn ujął oba psy za obrożę i ciągnął je w tył a tymczasem Berkins ubierał pospiesznie jakieś szare rękawice, krzycząc do pantery: „*Gloves*, Mary, *gloves* (rękawiczki!)“ Pantera odpowiadała głuchem ryczeniem i cofnąwszy się nieco w tył, przysiadła na tylne łapy gotując się do skoku.

Ja z Francuzem dawno już staliśmy za plecami murzyna, z przerażeniem śledząc ruchy Amerykanina. Człowiek ten w jednej chwili jakby przeobraził się: wyrósł, odmłodniał, rumieniec wystąpił mu na twarz, oczy błyszczały, a na ustach zaigrał uśmiech zadowolenia i — o, dziwo! — zwierzę zaczęło się cofać, a on, wyciągnąwszy przed siebie ręce w rękawiczkach, szedł naprzód, powtarzając ciągle: *Gloves*, Mary, *gloves!*“ Jeszcze jedna chwila — a pantera obróciła się i ratując się od bezbronnego człowieka, zaczęła biedz i szukać wyjścia z jadalni. Lecz wyjścia nie ma nigdzie a Berkins idzie tuż za nią. I oto zwierzę tuli się w kąt i skulone siada, oczekując z trwogą człowieka...

Wówczas Mr. Berkins stanął na środku komnaty i rozkazującym głosem krzyknął:

— Mary, *come here* (chodź tutaj)!..

W odpowiedzi na to pantera zaczęła wyć dziwnym, urywanym głosem, jakby żaląc się... nigdy jeszcze nie słyszałem takiego głosu u zwierząt. Lecz Berkins groźnie powtarza swój rozkaz, i — trudno oczom uwierzyć, pantera, wyjąc żałośnie, pełza na brzuchu do stóp swego pana! Berkins wziął ją dwoma palcami za ucho, a zwierzę przeraźliwie pisnęło.

— Na drugi raz nie zrobisz już tego, moja miła?—łajał ją po angielsku Berkins.—Nie będziesz na drugi raz niegrzeczną? Zasłużyłaś na przykładne ukaranie, lecz ze względu na gości tym razem ci przebaczam!

Przez cały czas gdy mówił, pantera wyła żałośnie, a gdy Berkins puścił jej ucho, szybko uciekła w głąb pokoju. Lecz pan jej zawołał: „*back!*“ i Mary natychmiast wróciła i położyła się u jego nóg.

— Je vous demande pardon mes amis — rzekł do nas Berkins — żeśmy was zaniepokoili. A teraz skończmy nasz obiad!.. Co się stało Tomowi, Jacku? — spytał, zwracając się do murzyna.

— Nic, ma tylko kilka zadrapnięć, a u Boba trochę ucho pokrwawione.

Ani ja, ani Francuz nie mieliśmy już żadnego apetytu, lecz z grzeczności wypadało znowu zasiąść do stołu

— A ty Mary za karę za swoje nieprzyzwoite zachowanie się—*couches ici!* — I tu pokazał panterze miejsce na podłodze w pobliżu swego krzesła. — A ty, Tom, zajmiesz jej miejsce, hop!

Tom wskoczył na krzesło Mary, a Bob z zakrwawionem uchem poszedł za jego przykładem. Murzyn znowu stanął za krzesłem swego pana, a my zabraliśmy się znowu do jakiegoś elektrycznego puddingu z sosem, robionym za pomocą przerywanego prądu...

— Czy zechciałby mi pan pokazać jedną z tych strasznych rękawiczek? — rzekłem do Amerykanina.

On uśmiechnął się.

— Nie pokażę ich, ale uścisnę panu z przyjemnością rękę!

I wdziawszy jedną rękawiczkę, wyciągnął dłoń ku mnie.

— *Prenez garde* (pilnuj się) — szepnął mi przyjaciel. — Ja ująłem tylko końce palców Berkinsa i w tej chwili uczułem ogromne wstrząśnienie w całym organizmie i silny ból w kościach ręki. Natychmiast cofnąłem rękę.

— Teraz pojmuje już pan, dlaczego Mary przedemną uciekła, gdym był w rękawiczkach? — spytał Berkins — *C'est qu'elle a peur de personnes bien gantées.* (Bo ona ma respekt przed osobami dobrze urękawiczonemi!..).

— Lecz jakim sposobem potrafi pan te kauczukowe rękawiczki nasycić tak silną elektrycznością? Gdzie są ukryte akumulatory?

— Po pierwsze, *my dear* (mój drogi), one nie są kauczukowe lecz jedwabne, po drugie nie ma w nich żadnych akumulatorów.... Jestto mój wynalazek, który trzymam w sekrecie.... do czasu. A teraz chodźmy wypalić cygara w *music—hall!*

Wstaliśmy i poszli za naszym niebezpiecznym amfitryonem. Nasunął on znowu jakiś guzik w ścianie i roztworzyły się drzwi prowadzące do bardzo wygodnej komnaty oświetlonej dużą chińską różnobarwną latarnią, zwisającą z środka sufitu. Pod jedną ścianą stało pianino, pod drugą szereg skrzynek z wychodzącemi z nich trąbami. Siedliśmy na sofie, paląc cygara, a Mary siadła sobie, jakby nic nie zaszło, na dywanie.

— Czy lubicie panowie uwertury? — spytał Amerykanin — zagram wam uwerturę do „E'gmonta“ Beethovena na 4 ręce.

Podszedł ku instrumentowi i nacisnął coś z boku. Natychmiast zajaśniały 4 elektryczne lampki nad pianinem. Wstawił jakiś walec do środka, na pulpicie rozłożył nuty, a potem zakomenderowawszy sobie samemu: „un, deux, trois“! zaczął grać — i posłyszeliśmy potężne akordy „Egmonta“. Zaiste — on grał na cztery ręce! Równocześnie bowiem z klawiszami, które się pogłębiały pod naciskiem jego palców, pogłębiały się inne klawisze, jak gdyby były uciskane przez jakąś parę niewidzialnych rąk, ale to już mi nie zaimponowało, ponieważ już takie elektryczne pianina widziałem na którejś elektrycznej wystawie.

Kiedy uwertura była już skończona, mr. Berkins zwrócił się ku nam i siadłszy na sofie przyłożył do naszych uszu trąbki z grafofonem. Posłyszeliśmy znowu rozmaite uwertury, tym razem orkiestralne, śpiewy słynnych śpiewaków, a nawet kwartet murzyński.

Pora była wracać do domu. Na pożegnanie podarował nam miły Amerykanin po elektrycznej wykałaczce własnego wynalazku — nietakt prawdziwego Yankesa.

Z izby sądowej.

Kraków, 4 czerwca.

(*Oszczerstwo*).

Wstrętny proces *Naprzodu* i socyalistów nowosądeckich rozegra się w czerwcowej kadencyi sądów przysięgłych w Krakowie, prawdopodobnie przy drzwiach zamkniętych.

Śledztwo toczące się w Krakowie i w Nowym Sączu, gdzie 18 świadków przez redaktora *Naprzodu* Sułczewskiego gwoli swej obrony postawionych przesłuchano, już ukończone, akt oskarżenia obwinionym 18 i 20 maja doręczony. Rzecz się tak ma:

Taktyką socyalistów było i jest napadać na księży, zniesławiać ich jako wyzyskiwaczy ludu, nieprzystępnych, gwałtownych względem swych parafian duszpasterzy, w tym celu, aby odebrać im u wiernych szacunek i zaufanie. Mianowicie 1896 r. jakby na dane hasło, pisma socyalistyczne a zwłaszcza krakowski *Naprzód*, rzuciły się na osławianie księży. Oni zrazu milczeli, gdy napaści stawały się coraz zuchwalsze i bezczelniejsze, kilku z nich wytoczyło *Naprzodowi* procesa o obrazę honoru i oszczerstwo. Wynik procesów był ten, że r. 1896 odpowiedzialny redaktor *Naprzodu* stolarz Ślepicki, skazany został na 8 miesięcy i 10 dni więzienia za oszczerstwo wyzysku na trzech księży rzucone. Z przebiegu procesu pokazało się, że majstrem do oszczerczych korespondencyj na księży był współpracownik *Naprzodu* żydek Haecker, który i teraz kronikę *Naprzodu* razem z socyalistą Kaczanowskim redaguje.

Po Ślepickim figurował jako odpowiedzialny redaktor *Naprzodu* socyalista Serkowski i znów na dwa zawody stawać musiał przed sądem za oszczerstwa rzucone na księży.

To poskutkowało. „Naprzód“ przez jakiś czas przestał zajmować się tak czule duchowieństwem świeckiem. Za to zajmował się Jezuitami zwłaszcza sądeckimi, bardzo wytrwale. Napsuli oni dużo krwi socyalistom sądeckim zorganizowanym od lat 5 w „Siłę“ i „Kółko zawodowe“ kolejowe. Na kazaniach zwalczali zdrożne nauki socyalistów i ostrzegali przed ich sztuczkami lud wiejski, do którego się oni dobierali, założyli katolickie stowarzyszenie robotnicze „Przyjaźń“, które położyło walną tamę dalszemu pochodowi socyalizmu w Sączu, miewali odczyty o socyalizmie jako chorobie społecznej; wydali kilka broszur anti-socyalistycznych w 20.000 egzemplarzy. Było się więc o co na nich gniewać socyalistom. Przez trzy prawie lata wypisywali na nich co mogli, takie n. p. zbrodnie, jak, że młyn ich wodny miele w niedzielę i święta. — O „wyzysku“ pisać nie było można, bo Jezuici parafii nie mając, opłat żadnych nie biorą. Co tu robić? Rzucić się na ich obyczaje, zniesławić ich jako niemoralnych gorszycieli. Ale życie ich prywatne bez skazy i zarzutu. Więc dalejże do oszczerstwa. Dnia 6go stycznia b. r. w „Przyjaźni“, przedstawiały dzieci przyjaźniaków jasełka, wiele zacnych osób z miasta i z kolonii kolejowej było na przedstawieniu, było i dwóch czy trzech Jezuitów i trzech księży parafialnych.

Po przedstawieniu księża wszyscy wrócili do domu, Przyjaźniacy zaś bawili się do północy. Zapomniano o jasełkach i zabawie. Aż tu 17 marca b. r. zjawia się Nr. 11 *Naprzodu*, a w nim artykulik o 16-tu wierszach p. t. „Jezuickie pisemko pokątne“ w którym stoi: „To cośmy pisali o „Przyjaźniach“ były fakty, a obecnie możemy do tej kolekcyi dodać jeszcze jeden kwiatek. W „Przyjaźni“ nowosądeckiej księża (twórcy, protektorowie i kierownicy tego [illegible]ego stowarzyszenia) urządzają sobie podczas zabaw orgie... w miejscu ustępowem“, co dalej, jakie to orgie urządzało sobie „trzech ojców — jeden z nich wysoki chudy, dobrze znany redakcyi pokątnego pisemka“ (*Grzmotu*), przez szacunek dla czytelników zamilczamy.

Ponieważ „twórcami, protektorami i kierownikami“ nowosądeckiej „Przyjaźni“ byli Jezuici, więc ci, aby przeciąć socyalistom drogę do dalszych na temat niemoralności oszczerstw, wnieśli przeciw redakcyi *Naprzodu* skargę do sądu o występek oszczerstwa. Uczyniła to samo *Przyjaźń* nowosądecka.

Oskarżony redaktor odpowiedzialny *Naprzodu* Franciszek Sułczewski, karany już kilkoletniem więzieniem na Wiśniczu za zbrodnię gwałtu publicznego (za współudział w rzuceniu bomby pod gmach c. k. policyi w Krakowie w r. 1885), wymienił kilkunastu świadków dowodowych, których przesłuchały sądy śledcze w Krakowie i w Nowym Sączu. Śledztwo zamknięto w połowie maja.

Na podstawie aktów śledczych wniesiony został w imieniu Jezuitów i „Przyjaźni“ Nowosądeckiej do sądu krajowego karnego w Krakowie akt oskarżenia przeciw drowi Józefowi Lehmanowi lekarzowi, znanemu socyaliście w Nowym Sączu, jako autorowi inkryminowanego artykułu *Naprzodu*, Janowi Maliszowi, pisarzowi adwokackiemu i stałemu z Nowego Sącza korespondentowi *Naprzodu*, który rzeczony artykuł poprawił i przesłał do redakcyi *Naprzodu*, p. Franciszkowi Sułczewskiemu, jako odpowiadzialnemu redaktorowi *Naprzodu* o występek oszczerstwa z §§. 7, 488 i 493 u. k., karany aresztem od 6-ciu miesięcy do jednego roku, a podlegający kompetencyi Sądów przysięgłych. Ostateczna rozprawa sądowa odbędzie się 15 czerwca b. r. O jej wyniku nie omieszkamy donieść.

* * *

Kraków 4 czerwca.

(*Obraza czci*).

Rozprawa karna przeciw p. Zdzisławowi Boguszowi, oskarżonemu o obrazę czci p. Adolfa Kornbergera, zakończyła się ugodowo. P. Bogusz cofnął swoje zarzuty i oświadczył, że nie miał zamiaru obrażenia p. Kornbergera, który przy zarządzie powierzonego mu przez sąd majątku miał do walczenia z wielu trudnościami.

Kronika.

Lwów 6 czerwca.

Nowa kandydatura. O mandat do Rady państwa z piątej kuryi w okręgu sanockim ubiega się, wedle doniesień z Sanoka, radzca sądu karnego z Przemyśla p. Bieńczewski.

Rada miejska na odbytem w sobotę posiedzeniu udzieliła Towarzystwu zachęty przemysłu krajowego subwencyę w kwocie 500 zł. na r 1898, a p. Ferdynandowi Góralskiemu 3-procentową pożyczkę w kwocie 1000 zł., płatną w pięciu rocznych ratach, na założenie we Lwowie pracowni ozdobnych serdaczków. Stypendyum z fundacyi im. Głowińskiego w kwocie 210 zł. otrzymał celujący uczeń gimnazyum Franciszka Józefa, Zenon Aleksandrowicz. W sprawie organizacyi miejskiej szkoły handlowej przemawiał jako referent dyr. Baranowski oraz prof. Soleski. Uchwały nie można było żadnej powziąć, gdyż posiedzenie, zwołane na godzinę szóstą, rozpoczęło się dopiero o kwandrans na dziewiątą, a już o godzinie dziewiątej brakło znowu kompletu.

Konkurs rozpisuje Dyrekcya poczt i telegrafów we Lwowie na posadę pocztmistrza w Skorykach w pow. zbaraskim; kaucya 500 zł., pobory 620 zł., termin do 18 bm.

Ślub. Dnia 12 b. m. odbędzie się w Odessie w kaplicy domowej ślub p. Tadeusza Dachowskiego, właściciela Leśkowej na Ukrainie, syna ś. p. Kazimierza i Zofii ze Zbyszewskich Dachowskich z panną Maryą Wołodkowiczówną, byłą panią Henrykową Sienkiewiczową, córką Konstantego i Heleny z Drzewieckich Wołodkowiczów.

Pojedynek. W Warszawie odbył się pojedynek pomiędzy redaktorem *Wieku*, p. Kazimierzem Zalewskim a p. Ignatowskim. Po dwukrotnej wymianie strzałów na dystansie 15 kroków, p. Zalewski otrzymał ciężką ranę w biodro, przeciwnikowi zaś jego kula ześliznęła się po klapie surduta na piersiach. P. Zalewski leczy się w mieszkaniu własnem.

Zmiana własności. Poseł Adam hr. Skrzyński kupił od p. Kazimierza Winnickiego dobra Łużna z przyległościami, w pow. gorlickim.

Tramwaj elektryczny we Lwowie będzie za kilka tygodni kursował na linii od rogatki Łyczakowskiej do dworca kolejowego odrazu dwoma wozami. Przygotowane są już osobne, lekkie wozy, które będą przypinane do wozów, poruszanych elektrycznością; komunikacya więc będzie o tyle znowu ułatwiona, że każdym razem tramwaj będzie mógł wieźć dwa razy tyle osób, ile wiezie obecnie.

Rozruchy w Jarosławiu. Jarosław był przez dwa dni widownią zatargów ludności robotniczej z władzami. W sobotę dnia 4 bm. kupiec tamtejszy Klecan, mający swój handel przy rynku głównym, kazał przyaresztować sługę sklepowego pod zarzutem kradzieży. Policyant miejski odstawił chłopca do aresztu, gdzie wkrótce potem zamknięto także jakiegoś pijanicę w jednej kaźni z tamtym. Pijak ten, przespawszy się, z przerażeniem spostrzegł, że jego towarzysz wisi na kracie okiennej bez życia. Narobił hałasu. Trupa zdjęto. Wisiał na własnym pasku, prawdopodobnie sam się życia pozbawił. Wnet jednak rozeszła się po mieście wieść, że chłopak zginął z ręki policyanta, który go uwięził, a następnie dla zatarcia zbrodni został powieszony. Na taką wieść zebrały się tłumy robotników pod ratuszem i domagały się natarczywie wyjaśnień, grożąc zemstą. Burmistrza dr. Ditziusa, bawiącego chwilowo w Krakowie, zastępywał dr. Jahl. Nadaremnie uspokajał hałasujących. To samo czynił sta-

rosta Szczurowski i komisarz starostwa Jagoszewski. Nic nie pomagało. A gdy robotnicy zaczęli bombardować magistrat kamieniami i policya miejska nie mogła dać rady, wezwano żandarmeryę, a w końcu wojsko. Wieczorem rozpędzono zbiegowisko i nastała cisza. Nazajutrz, w niedzielę przed południem jeszcze liczniej, niż poprzednio zgromadzili się robotnicy pod ratuszem i przystąpili najprzód do demolacyi handlu Kleeana (w sobotę oszczędzonego), a potem ponowili bombardowanie okien magistratu, bijąc policyantów i żandarmów. Wojsko wezwane rozpraszało ich bagnetami i z trudem oczyściło rynek. Mówią o wielu pokaleczonych robotnikach a nawet w pierwszej chwili utrzymywało się twierdzenie, że trzech padło, lecz to nie prawda. Natomiast jeden policyant i jeden żandarm mają być bardzo ciężko ranni pociskami robotników. Głoszono nawet, że zmarli. Po południu przywrócono spokój.

Stowarzyszenie budowniczych we Lwowie obrało na ostatniem walnem zgromadzeniu prezesem p. Alfreda Kamienobrodzkiego, zastępcą prezesa p. Jana Lewińskiego, sekretarzem p. Kazimierza Wieniawę Chmielewskiego. Ze sprawozdania z czynności stowarzyszenia w roku ubiegłym zasługuje na uwagę kilkakrotne odniesienie się zarządu do magistratu i namiestnictwa w sprawie uregulowania przemysłu budowlanego i przestrzegania interesów budowniczych przeciwko nadużyciom osób niepowołanych. Walne zgromadzenie przeznaczyło 50 złr. na pomnik Mickiewicza.

Wstręt do służby wojskowej. W Jaryczowie Nowym zdarzył się następujący wypadek: Izaak Gross, wzięty do wojska, uciekł pod miastem od żandarma, który go prowadził. Gdy żandarm złapał go powtórnie, hurma Żydów napadła stróża porządku. Na odsiecz żandarmowi pospieszyli mieszczanie jaryczowscy. Wszczęła się bójka, w której dostało się obu stronom. Grossa odstawił żandarm do Lwowa, kilku Żydów aresztowano.

Uroczystości w Pradze czeskiej. Narodowy obchód setnej rocznicy urodzin Franciszka Palackiego, oraz następujący po nim zjazd dziennikarzy słowiańskich w Pradze, odbędą się w dniach od 17 do 22 bm. według następującego programu: W Piątek 17 b. m. o godz. 8 wieczorem odbędzie się na Zofijskim Ostrowie uroczyste powitanie uczestników zjazdu. — W sobotę 18 bm. o godzinie 11 przed południem uroczystość odsłonięcia postawionego kosztem kraju popiersia Palackiego w panteonie muzeum Królestwa czeskiego. Odśpiewana będzie przez Towarzystwo śpiewackie „Hlahol“ kantata do „Matki Sławy“, muzyka Bendla do słów Jarosława Vrchlickiego. Następnie wygłosi mowę prezes komitetu Jan hr. Harrach. Odczyt o Palackim wygłosi Dr. Wacław Tomek, poczem chór „Hlahola“ odśpiewa „Slavnostni sbor“ Smetany. O godz. 2 po południu uroczyste przyjęcie na Ostrowie Zofijskim. O godzinie 9 wieczorem iluminacya brzegu Wełtawy i bulwaru Palacky'ego, oraz nocny festyn na Wełtawie. O godzinie 10 wieczorem uroczystość w mieszczańskiej Besedzie. Równocześnie o godzinie 7 wieczorem odbędzie się w Narodnim Divadle uroczyste przedstawienie opery Smetany „Libussa“. — W niedzielę 19 b. m. o godzinie 8 rano punkt zborny na Królewskich Winohradach, skąd uroczysty pochód przez Vaclavskie namesti na bulwar Palackiego. O pół do 11 uroczyste położenie kamienia węgielnego pod pomnik Palackiego nad Wełtawą. „Hlahol“ odśpiewa chór. Mowy wygłoszą: burmistrz Pragi dr. Podlipny i prezes Rady państwa Herold. Śpiewem „Hlahola“ zakończy się uroczystość. O pół do 2 po południu w ratuszu Staromiejskim śniadanie na cześć dziennikarzy słowiańskich. O godzinie pół do 3 obiady zjazdu. O 8 wieczorem zabawa w ratuszu. — W poniedziałek 20 b. m. przed południem zwiedzanie w ratuszu. O 1 po południu przedstawienie w teatrze, zwiedzanie wystawy technicznej, na wystawie obiad i koncert. — We wtorek 21 b. m. przed południem zacznie się zwiedzanie osobliwości i pamiątek na Hradczanach i Wyszehradzie. Wieczorem koncert. — We środę 22 bm wycieczka do Kolina i Kutnej Hory, zwiedzenie tamtejszych pamiątek oraz pożegnanie. Uczestników zjazdu dziennikarskiego jest 44, nie licząc naturalnie dziennikarzy miejscowych. Przybywa do Pragi dwunastu dziennikarzy słoweńskich (między nimi panna Nadlisek z Tryestu), czterech słowackich, czterech serbskich, ośmnastu polskich, jeden małoruski i pięciu chorwackich.

Pożar. Dnia 3 bm. we wsi Wełdniowie w powiecie bóbreckim spaliło się 30 zagród włościańskich, z których tylko jedna była ubezpieczona na szczęście. Powodem tego nieszczęścia była agitacya rozsiewana przez przeciwników krakowskiemu Towarzystwu wzaj. ubezp., jako przeciw instytucyi „polskiej“, gdy zaś właściciele do „Dniestru“ nie nabyli zaufania, więc zdali swe mienie na łaskę losu.

Z kolei. Ruch wszelkich pociągów na przestrzeni Piwniczna-Muszyna Krynica został dnia 4 bm. na nowo otwartym.

Wieża Mickiewicza. Towarzystwo dla upiększenia miasta Lwowa postanowiło wznieść we Lwowie wieżę, z której możnaby oglądać Lwów i jego okolicę. Wieża ta ma nosić nazwę „Wieży Mickiewicza“ i stanąć na Wysokim Zamku, na wzgórzu, pod którem mieści się grota.

Niegodziwa opiekunka. Ośmnastomiesięczna córeczka naturalna defraudanta Leszczyńskiego była na wychowaniu u żony tkacza Maryi Łabaziewiczowej, zamieszkałej we Lwowie przy ul. Krótkiej. Marya pobierała otrzymywała za opiekę nad dzieckiem zapłatę, traktowała je jednak źle. Gdy się Leszczyński po wykryciu jego malwersacyj uciekł z kraju, opiekunka dzieckowi znęcała się nad niem w najohydniejszy sposób, katowała je i morzyła głodem, aby się jej tym sposobem pozbyć. Sąsiedzi zawiadomili policyę o tych okrucieństwach. Policya, sprawdziwszy, że dziecko pokryte jest mnóstwem sińców i ran, i straszliwie wygłodzone, oddała je do szpitala św. Zofii, a przeciw Łabaziewiczowej wdrożono śledztwo karne.

Kradzież w urzędzie podatkowym. W nocy z dnia 30 na 31 maja do lokalu kasy podręcznej urzędu podatkowego w Krakowie, w kamienicy przy ul. Gołębiej, w której mieści się kasa, włamał się złodziej, przedziurawiwszy ścianę, nie zdołał jednak zrobić nic, bo przeszkodził mu ktoś z ludzi w domu, więc po złodzieju został jeno ślad i narzędzia. Kasa do kradzieży nie podniesiono. Niestety zawiódł się bardzo, gdyż w kasie, którą zdołał otworzyć, nie było nic prócz kilku kwitów. Złodziej, był darmy, do pieniędzy, przeszkodzono mu, przeto kasę wraz z wszystkiemi pieniędzmi w Abendrothówna.

Irena Abendrothówna odniosła ubiegłej niedzieli sukces. Jak donosi z czytelników naszych, który był obecnym w Wiedniu, pisze nam o świetnem wykonaniu przez nią partyi Adalgizy w „Normie“, wystawionej w operze nadwornej. Publiczność i krytyka były pełne uznania dla pięknego głosu i wybornej szkoły śpiewu młodej artystki. Szczególnie zaś przy jej prześwietnej barwie i niezrównanej sztuce koloratury, jak i za grę nader misterną, pełną scenicznej werwy i temperamentu.

Polski pułk w Ameryce. Do wiadomości o polskim pułku w Ameryce, o którym pisaliśmy w jednym z ostatnich numerów, dodać jeszcze z pośród wybuchem wojny hiszpańsko-amerykańskiej, że organizatorem tego pułku jest p. Piotr Kiołbassa, dowodzi nim obecnie na podstawie listu p. Piotra Kiołbassy następujące szczegóły:

Piotr Kiołbassa zorganizował pułk nie swoim, ale rządu Stanów Zjednoczonych kosztem; pułk ten ma w razie potrzeby nieść pomoc Stanom Zjednoczonym, aby spełnić w ten sposób obowiązek na Polakach jako na obywatelach amerykańskich ciążący. Ochotników Amerykanie już nie potrzebują, a do wojska przyjęci być mogli tylko obywatele Stanów Zjednoczonych od 18—35 lat wieku.

Młody król hiszpański skończył w dniu 17 maja lat dwanaście, zaś starsza infantka księżniczka Maria de las Mercedes skończy w sierpniu lat ośmnaście, młodsza Marya Teresa w październiku 15 lat. Młody król nosi mundur szkoły kadetów piechoty — mundur w pierwszym roku pozbawiony wszelkich oznak oficerskich. Tylko na wstążce nosi na szyi order złotego runa. Król Alfons pobiera od profesorów gimnazyalnych lekcye religii, łaciny, historyi, geografii, algebry, geometryi i nauk przyrodniczych, oraz języków: angielskiego, francuskiego, niemieckiego i muzyki. Nauki rozpoczynają się pomiędzy godz. 8 a 9 rano i trwają trzy godziny, poczem następują ćwiczenia w jeździe konnej. Po obiedzie idzie na przechadzkę. Królowa zazwyczaj wyjeżdża z trojgiem dzieci w landzie, zaprzężonem w cztery muły w otoczeniu jeźdźców ze szwadronu hiszpańskiej. Kawalkada udaje się zwykle daleko po za miasto na wieś. Po krótkim wypoczynku znów rozpoczynają się nauki, które trwają od 2 do 5 godzin i kończą się ćwiczeniami muzycznemi. Najulubieńszem zajęciem króla, posiadającego temperament bardzo żywy, jest czytanie opisów podróży i historyi wojen. W specyalnie ku temu urządzonym pokoju na piętrze na wielkich stołach ustawia on pod kierunkiem oficerów-nauczycieli wojska z ołowianych żołnierzy i manewruje nimi. Co dzień o godz. 10 rano zmienia się przy muzyce warta pałacowa. Król przypatruje się zwykle tej ceremonii z dalekiego pokoju pałacu. Młody król jest chłopcem wesołego usposobienia, zdolnym i posiada wielką łatwość nauki obcych języków.

Róża Duce. Dzienniki warszawskie zapowiadają, że na scenie teatru wielkiego wystąpi w „Halce“ i w „Rycerskiej wieśniaczce“ panna Duce, lwowianka, uczennica prof. Wysockiego. Panna Duce śpiewa od roku na scenach niemieckich, oraz w Pradze czeskiej i w Peszcie, a we Lwowie jest zupełnie nieznana.

Stan powietrza. T. o g. 8 rano +13, w poł. +15 R. Bar. 767. Nieruchomy. Pogoda.

Z teatru wojny.

Języczek mówi Filipiny nie może nigdy być spokojny, więc w wojennej chwili codziennie o amerykańskiej terem wojny. Cygar mi żalił nie powie: ot macie walki pierwszą próbę! Więc choć Hiszpanem sam nie jestem: spór wiodę z żoną mą o Kubę. Już pół wiekiem zmienić sortę, toczyłem walkę z margrafem — o wonną tak Hawannę i mniej wonne Portorico. I pić mi także nic nie wolno (każdy z was powie: to jest bajka!) Jeśli się nie zdecyduję herbaty, toczę z nią walkę o *Jamajkę!* Dzień jeden tylko na spokój: Jest u nas zawieszenie broni: Parowiec, gdy nadbyła flota z gazą mą przychodzą do niej. I ja wojenną mam taktykę: Często się zmieniam w *krążownika*: mój okręt po domu za domem krąży, z nieprzyjacielem starć unika. Niestety! mina Filipina tak także nie jest spokojna. A więc bombami dwunastoma co dzień się uzmacniam z Szkowrona. Wracam na *terytoryum wojny* dość późno — bacznie stawiam nogę: tylko ne przydzieli na *pokładzie*, okrętu widzę tuż rozkopy. Nasze się gdy za drzwi, ażeby gdzie nie wiedział — kiedy? Wtem nagle tam, gdzieś, z pod jej *jaśka*, ostrych słów rażą mnie *torpedy*. Kołdrą nakrywam się od uszy, lub pod podusze głowę wsuwam. I tak czekam do ściany przywarty — przytykam jej blokadę, oraz więcej obowiązuję i odnawiam z terenu wojny — na snu fali.

(*Śmigus*).

Repertuar teatru. Wtorek: „Talizman“, baśń dramatyczna w 4 aktach Lud. Fuldy (nowość). Środa: „Ułuda“, fragment dramatyczny w 3 aktach M. Szutkiewicza (nowość), „Z dobrego serca“, obrazek sceniczny w 1 akcie, napisał Lucyan Rydel. Czwartek: teatr zamknięty. Piątek: „Wieczór trzech króli“, komedya w 5 aktach W. Szekspira (na dochód Tow. dziennikarzy).

W przedstawieniu „Talizmana“ wystąpią po raz pierwszy pp. Kozarbiński i Zawadzki. We środę w „Ułudzie“ Szutkiewicza wystąpi po raz pierwszy heroina trupy p. Siemaszkowa oraz panna Przybyłko, która od niedawna weszła w skład towarzystwa, jako tak zwana „liryczna“.

Literatura i sztuka.

* **Z teatru.** W sobotę artyści teatru krakowskiego przedstawili nam wysoce zajmującą komedyę Sheridana „Współzalotnicy“ (*The rivals*), uważaną powszechnie za arcydzieło, równie niemal głośnemu jego utworowi: „Szkoła obmowy“ (*The school of medisance*). Komedya ta była wystawiona w Londynie po raz pierwszy 17 stycznia 1775 r. w teatrze tamtejszym Covent-Garden. Utwór ten od razu wtedy zdobył sobie poklask wszystkich publiczności angielskiej. Na polskie przełożył go p. G. Ehrenberg, a na scenę ułożył p. J. Popławski, artysta teatru krakowskiego. Aby wystawić utwór z 18 stulecia, trzeba przedewszystkiem wady budowy zarówno i w rusztowaniu dzisiejszym wyrównać, posiada bowiem ów utwór sceny różnorodne, które z dawna wystąpiły nas. Nienaturalnym się wydaje a u niegrającej publiczności dziś ze stanowiska sceny ów sposób prowadzenia akcyi, jak wiele w owej epoce. Przekładu dostosowano szczęśliwie, składając z dwu scen i nie różnił się wiele od oryginału w utworach innych. Tymczasem dochodzi język dał sobie radę z myszką, niewielki, wszystko prawie do wyżyn. P. Kamiński w małej rólki, dalej zawsze złotych pp. odpowiednimi zwrócił uwagę Mielewskiego. Odegrana, charakteru. W 18 stuleciu liku tamtejsza niemal Sheridan za-

wziętego pojedynkowicza Sir Luciusa zrobił baronetem irlandzkim. Należało więc nadać postaci tej trochę więcej krewkości i awanturniczości. Całość przedstawienia wypadła doskonale ku ogólnemu zadowoleniu nader licznie zgromadzonej publiczności.

Wczoraj, w niedzielę, mieliśmy 4-aktową komedyę Schönthana i Kadelburga: „Na cel dobroczynny“. Jest to, właściwie farsa, tem nieco różniąca się od innych niemieckich „posse“, że panowie Schönthan i Kadelburg usiłują naśladować francuskich farsistów i czasem im się udaje, ale nigdy nie mogą się wyzwolić od ociężałej, albo sztucznie wikłanej akcyi, zastępując francuską werwę, dowcip, spryt sytuacyjny — powierzchowną karykaturą, tanimi dyalogowymi konceptami i jowialnością niemiecką. Taką też jest i „Na cel dobroczynny“. Farsa posiada chyba ten szczegół oryginalny, że nie ma w niej właściwie romansu. Chodzi o to, że syn wyższego urzędnika Paweł Hinsdorf ożenił się bez pozwolenia rodziców z piękną aktorką Klarą, która mimo świetnej partyi jaką zrobiła i chociaż bardzo kocha swego małżonka, tęskni jednak za teatrem. Z tego właśnie chce mąż wyleczyć żonę. Ale na nieszczęście organizują w mieście przedstawienie na cel dobroczynny, na którem nawet ma być obecny książę. Klarę zapraszają, aby jako niegdyś sławna artystka wzięła w niem udział. Mąż nie pozwala, żona nie chce go słuchać. Ztąd powstają sprzeczki, a gdy jeszcze wdają się w to ci, co przedstawienie organizują, pomiędzy którymi jest dyrektor teatru i autor dramatyczny, robi się istne domowe piekiełko... Do takiej zaognionej sytuacyi przybywa jeszcze i ta okoliczność, że w braku istotnego celu dobroczynnego, nawinęła się stara awanturnica, jakaś była aktorka, pani Claudius, na korzyść której ma się przedstawienie odbyć. Ta pani Claudius udaje wdowę, obarczoną sierotami i w domu Pawła Hinsdorfa, gdzie się ciągle odbywa walka o przedstawienie, spotyka męża, z którym przed dawnemi laty, rozłączyła się. Z tego naturalnie, wynikają śmieszne kolizye—a nareszcie sztuka kończy się tem, że przedstawienie na cel dobroczynny nie przychodzi do skutku, bo Klara „przyjęła stałe *engagement*“ u swego ukochanego mężusia, rodzice Pawła przybywają godząc się z synem i synową, a i sam cel dobroczynny odpada, bo pani Claudius odnalazła męża i pięć tysięcy marek, jako połowę jakiegoś spadku.

Farsę tę grali w bardzo przyspieszonem tempie krakowscy artyści, co nader przyczyniło się do ożywienia monotonnych i zbyt rozwlekłych scen, pomiędzy którymi zbiorowe wychodziły wyśmienicie. Przepyszny komizm p. Wojnowskiej, jako wdowy Claudius, ex-aktorki, wywoływał co chwila huragany śmiechu. Dwoje powaśnionych, a jednak kochających się małżonków z dystynkcyą przeplataną bardzo zręcznie gniewliwem ożywieniem grali pp. Trapszówna i Sobiesław. Habermana, figurę, rażącą karykaturalnością, wprowadzoną przez autorów jako epizod do komedyi widocznie dla chwilowego ujaskrawienia akcyi, grał p. Solski z tą pomysłowością, która znamionuje artystę dużego talentu. Mniejsze role o barwie komiczno-charakterystycznej wybornie wyszły w grze pp. Siemaszko, Romana, Przybyłowicza, Wolskiej, Węgrzyna i Mielewskiego. Teatr był zapełniony.

Iks Ypsylon.

* **Śmigusa** nr. 11 z dnia 1 czerwca odznacza się przedewszystkiem nadzwyczajnie efektownie kolorowanemi ilustracyami, które zapełniają cztery pełne stronnice. Również treść humorystyczna jest doskonałą, a wśród mnóstwa artykułów należy wyszczególnić nader dowcipne rozporządzenia językowe, wyborną baladę rycerską, list Chaporublewycza pt. Narodnoje wicze, liczne korespondencye z prowincyi i mnóstwo drobnych artykułów tryskających dowcipem. W dodatku zamieszczona jest humoreska Junoszy i nuty (Majowy poranek, polka mazurka J. Kopaczka).

SPORT.

Wyścigi konne w Budapeszcie. — Zjazd wiosenny.

Dzień ósmy 19 maja. „Nagroda God“, Handicap; 4000 k. zwycięzcy, 500 k. drugiemu koniowi, meta 1600 mtr. Zapisano koni 32, biegało 10. Stada Angern 3 l. „Sylvester“ po Triumph od She (51 kg.) †. Hr. T. Andrassy'ego 3 l. „Veloce“ po Stronzian od Veglia (48½ kg.) †. Totalizator 12:5 „Sylvester“, — 46:5 „Veloce“. „Nagroda królewska“ 100.000 k. w gotówce i nagroda honorowa wartości 4000 k. zwycięzcy, 1000 k. drugiemu koniowi, 500 k. trzeciemu koniowi, meta 1800 mtr. Zapisano koni 71, biegało 10. Hr. E. Batthyany'ego 3 l. „Mündig“ po Gaga od Muttiny 1. P. G. Rohonczy'ego 3 l. „Esterli“ 2. Br. N. Rothschilda 4 l. „Debutante“ 3. Totalizator 10:5.

Nagroda królewska w Budapeszcie jest najznaczniejszą nagrodą wyścigową w całej monarchii austro-węgierskiej; wprawdzie nagroda Jockey-Clubu (Derby austryackie) wynosi także 100 000 koron, w królewskiej nagrodzie jednak przybywa jeszcze do tej sumy nagroda honorowa wartości 4000 kor. Godzi się też wspomnieć o udziale publiczności tego dnia kiedy odbył się bieg powyższy: przez bramy prowadzące na tor wyścigowy, wjechało 750 ekwipaży prywatnych i 1333 fiakrów parokonnych, 1541 jednokonnych, razem więc 3624 powozów. — Liczbę publiczności zgromadzonej na torze wyścigowym tego dnia obliczono w przybliżeniu na 17000 osób.

Dzień dziewiąty 21 maja. „Nagroda Foth.“ Handicap, 4000 koron zwycięzcy, 500 k. drugiemu koniowi; meta 1800 m. Zapisano koni 36, biegało 12. Hr. J. Forgacha 3l. „Forgoszel“ po War-Horn od Windfall (48 kg.) 1, br. A. Harkanyi'ego 3l. „Eccles Cross“ (53 i pół kg) 2. Totalizator 38:5. — Wiosenny bieg próby: 10.000 kor. zwycięzcy, 1000 k. drugiemu koniowi, dla koni dwu- i trzyletnich, meta 1000 mtr. Zapisano koni 9, biegały 3. Br. Z. Uechtritza 3l. „Karpat“ po Kegy ur od Kisböske 1, hr. T. Festeticsa 3l. „Doge“ 2. Totalizator 7:5.

Dzień dziesiąty 22 maja. Handicap końcowy: 6000 k. zwycięzcy, 600 k. drugiemu koniowi, meta 2000 metr. Zapisano koni 30, biegało 7. P. G von Rohonczy'ego 3l. „Esterti“ po Milon od Ester (52 k.) 1, hr. T. Andrassy'ego 3l. „Veloce“ (52 i pół k) 2. Totalizator 9:5. — Nagroda Ruperry: 4000 k. zwycięzcy, 500 k. drugiemu koniowi, dla koni 2-letnich, meta 1000 m. Zapisano koni 8, biegały 3. Hr. T. Andrassy'ego „Adoma“ po Beau Brummel od Ancona 1, p. Dorrita „Illusion“ 2. Totalizator 20:5.

* * *

W czasie zjazdu wyścigowego w Budapeszcie odbyła się w tamtejszym Tattersallu licytacya roczniaków czystej krwi ze stad węgierskich. Sprzedano razem koni 66. Najwyższą cenę osiągnął ogier kaszt. po Morgan od Stately, kupiony przez p. M. v. Szemere za 7400 zł.

Część ekonomiczna.

Wiedeń, 4 czerwca.

(Z.). W usposobieniu przyjaznem zamknęła giełda obroty ubiegłego tygodnia. Wewnętrzną sytuacyę polityczną Austryi oceniano dziś przyjaźniej, a piękna pogoda w całej monarchii zwiększa szanse dobrych żniw, co znalazło swój wyraz w ponownem obniżeniu się cen zboża. — W Berlinie przybrała spekulacya w akcyach hut i kopalni żelaza ogromne rozmiary, a podnieca ją to, że zarząd pruskich kolei państwowych porobił już ogromne zamówienia a podobno przygotowuje jeszcze nowe. Spekulacya ta w Berlinie oddziałała korzystnie także na nasze walory żelazne. — W Paryżu wywołała wiadomość o zwycięstwie Hiszpanów znaczną zwyżkę renty hiszpańskiej, którą zamknięto dziś kursem 36⅛. Z drugiej strony jednak zwycięstwo to jest sferom finansowym o tyle nie na rękę, że usuwa na dalszy plan nadzieję rychłego zawarcia pokoju. Bardzo poszukiwane były dziś zarówno tu jak i w Paryżu tureckie akcye tytoniowe. Kurs ich idzie w górę, gdyż dzięki toczącej się wojnie zmniejszają się zapasy cygar hawańskich w Europie, a tem samem większy odbyt znajdują gatunki tytoniu, wyrabiane przez zarząd tureckiego monopolu tytoniowego.

Ostatnie notowania:

Kredyty austr. 358·75, węgierskie 400·25, Anglobanki 158·—, Uniony 296·—, Bankvereiny 268·70, Länderbanki 227·50, Ludwiki 212·25, Czerniowieckie 294·50, Elbethale 262·75, Renta papierowa 101·90, srebrna 101·85, austryacka złota 121·55, austr. renta wal. kor. 101·50, węgierska złota 121·25, węgierska renta wal. kor. 99.10, dukat 5·65, 20 frankówka 9·53—, marki 11·77—, ruble 1·27¾.

Ceny zboża. Wiedeń 4 czerwca. Pszenica na czerwiec 12·60—12·75, na jesień 9·85—10; żyto na jesień 7·60—7·68; owies na jesień 5·98—6; kukurudza na czerwiec 5·53—5·57, na lipiec-sierpień 5·56—5·62; rzepak na sierpień-wrzesień 12·75—12·85. Spirytus 21·10—21·30.

§ **Lwowski oddział Tow. gospodarskiego** odbył wczoraj posiedzenie pod przewodnictwem p. Wiesiołowskiego. Na posiedzeniu tem prof. szkoły lasowej p. Janeczko miał wykład o hodowli ryb w większych stawach. Objaśniał, że na Szląsku, nawet w mniejszych stawach, hodowla rozwija się wcale dobrze, u nas zaś, np. w Galicyi zachodniej, czynią już dość udatne próby w tym kierunku. W dyskusyi na ten temat podniesiono, że nawet we wschodniej Galicyi, jak np. pod Szczercem, chłopi czynią starania w tym kierunku, co może być zaczątkiem wcale dobrego dzieła.

Prof. Pańkowski z Dublan przemawiał w sprawie hodowli nierogacizny i oświadczył się za uszlachetnieniem rasy krajowej. Jestto środek lepszy od krzyżowania. Mówca postawił wniosek, ażeby oddział lwowski Tow. gosp. przez prezesa skłonił komitet ogólny do rozpoczęcia akcyi w tym kierunku. Najdzielniejszym środkiem byłoby tutaj popieranie myśli zakładania hodowli dla każdej okolicy z osobna, z uwzględnieniem jej warunków gospodarczych. Wnioski uchwalono.

Telegramy Przeglądu.

Wojna hiszpańsko-amerykańska.

Madryt 6 czerwca. Wiadomości o starciach pod Sant Jago wywołują wśród ludności tutejszej zapał nie do opisania. Publiczność wydziera wprost z rąk roznosicielom gazet nadzwyczajne dodatki, zawierające doniesienia z pola walki. Co prawda, opinia publiczna przesadza grubo znaczenie ostatniej bitwy pod Sant Jago i uważa ją za wielkie zwycięstwo, podczas gdy wszystko przemawia za tem, że była to potyczka rekonesansowa. Zatopiony okręt „Merrimac“ należał do kategoryi t. z. krążowników posiłkowych, t. j. że był dawniej okrętem handlowym, a z początkiem wojny przerobiony został do służby wojennej. Miał on pojemności 4000 tonn, a załoga jego składała się z 65 ludzi. Jeden oficer i 7 majtków dostało się do niewoli, a 57 ludzi prawdopodobnie utonęło. Królowa rejentka przesłała admirałowi Cerverze telegram, w których w gorących słowach dziękuje mu za bohaterską obronę miasta Sant Jago. Także kortezy uchwaliły wyrazić podziękowanie Cerverze, tudzież marynarce hiszpańskiej i armii lądowej na Kubie.

Nowy-York 6 czerwca. Dzienniki tutejsze przedstawiają ostatnią bitwę pod Sant Jago jako nie mającą żadnego znaczenia. Wedle ich opisów, zatopiony okręt „Merrimac“ był starym, niezdolnym do żadnego użytku. Niektóre pisma silą się nawet na wykazanie, że zatopienie „Merrimaca“ jest sukcesem Amerykanów, że oni umyślnie wysłali go na pierwszy ogień, ażeby go zatopiono, bo w ten sposób szczątki jego zatarasują wejście do zatoki Sant Jago i uniemożliwią hiszpańskim okrętom wydobycie się z niej. Waszyngtoński departament marynarki nie ogłosił jeszcze żadnych szczegółów o bitwie pod Sant Jago.

Hawanna 6 czerwca. Marszałek Blanco zabronił korespondentom pism zagranicznych przebywać na Kubie i wyraził, że jeżeli do 48 godzin nie opuszczą wyspy, będą traktowani jako szpiedzy.

Madryt 6 czerwca. Na radzie ministrów stwierdzono urzędownie doniesienie, że wódz powstańców na Filipinach Aguinaldo postanowił nie przedsięwziąć żadnego kroku na korzyść Hiszpanów.

Na radzie ministrów postanowiono nie wprowadzać jeszcze na Portorico osobnego parlamentu, gdyż stronnictwa tamtejsze bez parlamentu okazują więcej zgodliwości.

Londyn 6 czerwca. Nadeszła tu prywatna depesza z Ameryki, donosząca, że flota hiszpańska zamknięta jest zupełnie w zatoce Sant Jago, że skazana na bezczynność, że Amerykanie umyślnie poświęcili swój okręt „Merrimac“ na zagładę, aby zatkał wejście do zatoki.

Praga 6 czerwca. Katolicy czescy zamierzali wczoraj urządzić wielką demonstracyę na rynku Starego miasta przeciw wzniesieniu tam pomnika Hussa. Policya obsadziła jednak cały plac i nie dopuściła do demonstracyi.

Praga 6 czerwca. Komitet wykonawczy stronnictwa młodoczeskiego wyraził drowi Heroldowi zupełne zaufanie i uprosił go, aby w imieniu stronnictwa przemawiał na uroczystości Palacky'ego. Uchwała ta jest odpowiedzią na pogłoski o zachwianiu się stanowiska dra Herolda i jego popularności w łonie stronnictwa młodoczeskiego.

Belgrad 6 czerwca. Wybory do skupczyny wypadły pomyślnie dla rządu. Radykałowie zdobyli zaledwie kilka okręgów, zresztą wybrano 112 liberałów i 62 postępowców.

Berno (morawskie) 6 czerwca. Niemcy tutejsi odbyli wczoraj w „Niemieckim Domu“ zgromadzenie, na którem uchwalili protest przeciw żądaniu Czechów utworzenia czeskiego uniwersytetu na Morawie, a domagają się założenia niemieckiego uniwersytetu. Po tem zgromadzeniu odbył się pochód stowarzyszeń niemieckich. Czesi urządzili kontrdemonstracyę, skutkiem czego przyszło do nieznacznego starcia, aresztowano trzy osoby.

Petersburg 6 czerwca. Jenerał Richter podał się do dymisyi. Podobno zostanie on członkiem Rady państwa, a urząd głównego kwatermistrza carskiego, piastowany przezeń, nie będzie osobno obsadzony, lecz wcielony zostanie do agend ministra dworu carskiego.

Wiedeń 6 czerwca. (*Rada państwa*). Na dzisiejszem posiedzeniu wniósł p. Lueger interpelacyę, skierowaną przeciw kartelowi naftowemu i przeciw zamierzonemu jakoby podwyższeniu cen nafty. P. Ferjancic interpeluje ministra skarbu z powodu rozesłania w Krainie okólników dotyczących podatku osobisto-dochodowego.

Prezydent Fuchs w odpowiedzi na interpelacyę p. Wolffa co do nominacyi hr. Gleispacha prezydentem sądu w Gracu oświadcza, że zapytanie p. Wolffa zakomunikował prezesowi gabinetu hr. Thunowi.

Co się zaś tyczy zapytania, dlaczego mandaty członków Trybunału państwowego nie są obsadzone, oświadcza dr. Fuchs, że mandaty tych członków wygasły z dniem 21 maja b. r., a wybór nowych członków zarządzonym zostanie na jednem z najbliższych posiedzeń.

P. Hannich zapytuje prezydenta, czy nie cofnie swego rozporządzenia zabraniającego zamieszczania wykrzykników poselskich w protokołach posiedzeń.

Prezydent Fuchs oświadcza, że trzyma się ściśle regulaminu, który przepisuje, aby tylko mowy były umieszczane w protokole, dlatego swego zarządzenia cofnąć nie może.

Z kolei przechodzi Izba do porządku dziennego, t. j. do dalszej debaty językowej. Pierwszy mówca p. Türk na początku swej mowy krytykuje zarządzenie prezydenta co do niezamieszczania w protokole wykrzykników. Następnie polemizuje z pp. Daszyńskim i br. Dipaulim, którzy działalność Bismarka krytykowali ujemnie. Gwałtownie uderza p. Türk na br. Dipaulego, który zamiast popierać Niemców znajduje się wciąż w szeregach większości, występuje również przeciw socyalistom, którzy, zdaniem jego, dążą do tego, ażeby w Austryi nastały takie stosunki, iżby Czesi zajęli najwyższe stanowiska.

Godzina 1½, posiedzenie trwa dalej.

NADESŁANE.

Rubryka ta nie pochodzi od Redakcyi, nie bierze też ona za nią na siebie żadnej odpowiedzialności.

Lwów 6 czerwca. (Z Izby handlowej).

Akcye za sztukę: Kolej gal. Karola Ludwika 200 zł. m. k. 211.25 do 214.00. Kolej Lwowsko-Czern.-Jasska po 200 zł. w. a. 293.00 do 297.00. Banku hypotecznego po 200 zł. w. a. 390.— do 400.—. Akcye garbarni w Rzeszowie po 200 zł. w. a. 200.— do 210.—. Tow. budowy wagonów w Sanoku 257.— do 261.—.

Listy zastawne za 100 zł.: Banku hipot. galic. 5 proc. los. w 40 lat a 10 proc. prem. 110.50 do 111.20, 4 i pół proc. los. w 50 lat 100.40 do 101.10, 4 proc. los w 60 lat 96.50 do 97·20. Banku kraj. 4 i pół proc. los. w 51 lat. 101.20 do 101.90, Banku kraj. 4 proc. los. w 57 lat 98.00 do 98.70, Tow. kred. gal. ziemskie 4 proc. (I emisya) 97.60 do 98.30, 4 proc. los. w 41 i pół latach 97.80 do 98·50, 4 proc. los. w 56 lat 96.50 do 97.20.

8)

O własnych siłach

POWIEŚĆ

przez

E. GERARD.

Tłómaczyła z angielskiego Zofia baronowa Hartingh.

(Ciąg dalszy).

Nastrój podczas obiadu dość już był uciążliwy dla Elwiry, ale gdy po skończeniu go podano kawę i likiery i całe towarzystwo przeniosło się na taras ogrodowy, naprężenie jej nerwów doszło do kulminacyjnego punktu. Rozumiała ona już dobrze swoje położenie i przyjęła obronne stanowisko.

Kiedy Klara Tiefenthal podała jej uprzejmie album fotograficzne do obejrzenia, odepchnęła go prawie szorstko od siebie, a kiedy dobroduszna Tekla Minart zaczęła ją zachęcać do przechadzki po ogrodzie, spojrzała na nią tak gniewnie, że ta cofnęła się wystraszona.

Wszyscy uprzedzająco grzeczni byli dla niej i nikt w niczem nie naruszył reguł towarzyskich. Elwira więc sama sobie była winna, że siedziała osamotniona, zdala od wszystkich, z posępną twarzą i oczyma, w których migotały gniewne błyski.

— Nie, ja do nich nie należę i nigdy należeć nie będę — mówiła sama do siebie z zaciętem obrażonej dumy, powracając wieczorem do hotelu.

ROZDZIAŁ IV.

Obiad u hrabiny Tiefenthal nie ponowił się więcej, ale nie pozostał bez następstw, bo od tego pamiętnego dnia Elwira spotykała raz po raz barona Bernsdorfa na swoich samotnych przechadzkach.

— Czybyś pan przyłączył sie do hrabianek Tiefenthal, gdybyś je spotkał same?— zapytała go raz porywczo.

— Okoliczność ta nie mogłaby się nadarzyć, gdyż te panie nie wychodzą nigdy bez guwernantki — odparł baron nieco zakłopotany.

— Więc dlatego, że ja nie mam guwernantki, uważasz pan za właściwe narzucać mi swoje towarzystwo?

— To co innego.. pani otrzymałaś, jakby to powiedzieć, zupełnie inny rodzaj wychowania. Zresztą, wszak jesteśmy z sobą spowinowaceni — poprawił się szybko, ostrzeżony gniewnym błyskiem jej źrenic. — Mąż ciotki pani jest moim krewnym. Cóż więc może być w tem złego, żeby się przejść kawałek drogi po Helenenthalu z kuzynem?

Elwira od tej pory zaczęła unikać Helenenthalu, lecz nie zdołała uniknąć natrętnego barona. Miała lat siedmnaście; nie dziw więc, że nie była na tyle doświadczoną, aby zgłębić odrazu zamiary barona. Dzień, w którym oczy jej otworzyły się nareszcie, zaznaczył się na zawsze erą przedwczesnego jej rozczarowania.

— Jakby to rozkosznie było, gdybyś pani zechciała spędzić jesień w moim małym czeskim zameczku — rzekł baron pewnego dnia. — Jest on dokoła otoczony lasami i niktby nam nie przeszkadzał w spacerach.

— Ojciec mój zamierza udać się jesienią do Ischlu — obojętnie odparła Elwira.

— Ojciec pani? a tak.. ale możebyś pani mogła namówić go do zmiany projektu? Znaleźlibyśmy mu tam z łatwością jakieś zajęcie. Czy jest on myśliwym?

— Zarzucił polowanie oddawna.

— A to wielka szkoda!

— Dla czego?

— Bo we dwoje najmilej jest być razem. Trzecia osoba jest zawsze zbyteczna. Ja także zarzuciłem polowanie od jakiegoś czasu i tak się cieszyłem na rozkoszne chwile, jakie mógłbym spędzić w towarzystwie pani. Zdaje mi się, że ją widzę całą w atłasach i aksamitach, odgrywającą znakomicie rolę kasztelanki. Jakby pani do twarzy było w rubinowym aksamicie.

— W aksamicie? — powtórzyła Elwira, marszcząc brwi; zaczynało już bowiem rozświtać się w jej umyśle. — Wiesz pan przecież, że nie mam pieniędzy na zbytki.

— Ale ja jestem bogaty — cicho napomknął kusiciel.

Spojrzenie bystrych oczu i uśmiech zdradziły go. Elwira zmierzyła go od stóp do głów i pogardliwie odwróciła się od niego.

— Jesteś pan nikczemnym człowiekiem! — rzekła, odchodząc i nie oglądając się nawet.

To ostatnie zdarzenie było iskrą, która zapaliła płomienne zarzewie oburzenia, tlejące w piersi Elwiry od dnia obiadu w willi „Flora". Powiedziała sobie, że nigdy odtąd z własnej woli nie przekroczy progu krewnych i znajomych swego ojca. Myśl jej naturalnym biegiem zwróciła się ku familii matki, której nie znała wcale, ojciec bowiem unikał wszelkich stosunków z rodziną żony tak starannie, jak go samego unikała własna rodzina.

W Elwirze zbudził się nagle pociąg do tej niższej mieszczańskiej sfery, z której pochodziła jej zmarła matka. Tam przynajmniej, między tymi prostaczkami, nie znalazłoby się tej zatrutej atmosfery światowej, dozna może tego ciepłego, serdecznego przyjęcia, którego jej odmówiono gdzieindziej.

Ciekawość jej została wkrótce zaspokojona. [illegible], że tejże samej jesieni hrabia Emil znalazł się w małem, zapadłem wśród gór miasteczku, w którem mieszkał brat jego żony, Józef Badl, zajmujący się perukarstwem.

Kiedy nazajutrz po przyjeździe Elwira wyraziła życzenie poznania wuja, hrabia, aczkolwiek mocno zafrasowany, nie stawiał jej żadnego oporu.

Jakież przykre jednak było zdziwienie Elwiry, kiedy spotkanie z Badlami przyniosło jej gorszy jeszcze zawód i rozczarowanie, niż zetknięcie z rodziną ojca. Widok panieńskiego nazwiska matki, wydrukowanego czerwonemi literami na szyldzie zawieszonym po nad gablotką, zawierającą ogromny płowy warkocz, umieszczony pomiędzy dwoma szynionami, rudym i czarnym, wywarł na niej pierwsze niemiłe wrażenie. To spotęgowało się jeszcze dziesięćkroć, gdy do dusznej, zamkniętej izdebki, napełnionej wonią zjełczałych tłuszczów i kosmetyków, wsunął się pokornie mały, chudy człowieczek w zaplamionym surducie, z grzebieniem zatkniętym za ucho i paczką szpilek w ręku, i powiedziano jej, że to jest brat jej matki.

Zdumienie perukarza na widok siostrzenicy było tak wielkie, że do końca wizyty prawie nie mógł odzyskać władzy w języku. Na szczęście żona przyszła mu w pomoc swoją elokwencyą. Brak dotykalnych dowodów na poparcie pretensyi swoich do arystokratycznych stosunków był najdotkliwszym cierniem w życiu pani Badl. Dławiła się ona nieraz z [illegible], kiedy Frau Strumpf, żona krawca, i Frau Pock, szewcowa, uśmiechały się niedowierzająco nad filiżanką kawy, słuchając jej opowiadań. „Nasz szwagier hrabia" i „nasza siostrzenica hrabianka" uważani byli przez przyjaciół domu za apokaliptyczne zwierzęta, których istnienia nie można było żadną miarą sprawdzić. To też bajeczne te okazy, zapadłszy same w pułapkę, nieprędko mogły się z niej wydostać.

Rezolutna i tryumfująca pani Badl, zanim jeszcze wybiegła do gości, rozesłała posłańców na wszystkie strony, zapraszając panią Strumpf, panią Pook i inne kumoszki na poobiednie „Klatschkaffee".

Hrabia Eldringen bronił się słabo; Elwira rozpaczliwie chwytała się różnych pretekstów, aby uciec; dopiero kiedy wymiarkowała, że wujenka gotowa jest otyłą swoją osobą zatarasować drzwi, poddała się biernie swemu losowi.

Wspomnienie tego podwieczorku nie przestało nigdy odtąd prześladować Elwiry. Frau Strumpf i Frau Pook zlewały się w jej wyobraźni w jakieś potworne, jednolite wrażenie germańskiej pospolitości. Nie rozpoznawała ona jednej od drugiej. Nie wiedziała sama, co było gorsze: czy głupkowate oniemielenie Józefa Badla wobec szwagra i siostrzenicy, czy hałaśliwa i ordynarna familiarność jego żony.

Miała ochotę śmiać się i płakać zarazem, widząc ostentacyjną paradę, z jaką produkowano jej tytuł, przed którym wszyscy zebrani bili czołem. Olśniewający blask korony o dziewięciu pałkach zdawał się roztaczać [illegible] aureolę nad jej głową. A te krochmalne, odświętne czepce i kołnierzyki, przywdziane na jej cześć, sposób, w jaki ci ludzie używali serwet i chustek od nosa, gminne ich wyrażenia i uniżone ukłony, ta cała stęchła atmosfera mieszczańskiego życia, jakże drażniąco oddziaływała na jej nerwy i wydała jej się okropną.

Wpatrując się ze zdumieniem w zielone, szklane guziki, zdobiące kaftanik [illegible] matrony, Elwira mimowolnie zaczęła robić porównanie pomiędzy tym ubraniem, a powiewną, gazową tualetą [illegible]nart. Z tego porównania przeszła na inne. Spojrzała na fajansowe, wyszczerbione talerze, [illegible] i jaskrawe, wzorzyste obicie pokoju, na czerwoną, [illegible] pokoju, [illegible] pani Badl [illegible] zmordowanych usiłowaniach wmuszania [illegible] niezliczonej ilości filiżanek wodnistej kawy i domowego pieczywa, a każde [illegible], jakie tutaj robiła, przenosiło ją myślą do willi Florydy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Redaktor odpowiedzialny: Wacław Masłowski. Papier z fabryki Fijałkowskich w Białej. Drukarnia nar. St. Manieckiego Spółka hotel Zorta. Zarządca W. Hodak.